opłacona ryczałtem

cena 30 gr

przemiany

miesięcznik społeczny młodych

autorzy

cieśliczak antoni
geblewicz eugenjusz
grądzielewski stanisław
jankowski jerzy
kultys jan
nowacki tadeusz
szczęsny adam
tschurl wilhelm

zagadnienia

dzieje się źle
legenda polemiki
polacy w niemczech
nowa partja na horyzoncie
niebezpieczeństwo które wciąż grozi
izby pracy jako problem społeczny i ustawodawczy
starsze harcerstwo przechodzi do ofensywy
organizacje polityczne francuskiej młodzieży akademickiej

rok III nr 3

warszawa 15 marzec 1936

Wydawca: MIECZYSŁAW PESZCZYŃSKI.
Redaktor naczelny: JERZY JANKOWSKI.
Redaktor odpowiedzialny: FELIKS KANCLERZ.
Redakcje środowiskowe: Katowice JERZY ŚMIECH, Pocztowa 16 II. p, Kraków JAN BAJOREK, Jabłonowskich 8/10 m. 76, Lublin ADAM FALKIEWICZ, Bernardyńska 1-a m. 13, Poznań WILHELM TSCHURL, Fredry 7, Toruń MARJAN WOJNOWSKI, Mickiewicza, Dom Społeczny.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy-Świat 21 m. 4.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 mm. szerokości 1 szpalty 40 gr. specjalne 40% drożej.
ABONAMENT: roczny 3.— zł., półroczny 1.60 zł., pojedyńczy numer 30 gr.
KONTO P. K. O. Poznań Nr. 207.811.

Druk. W. Salamoński, Warszawa, Wspólna 47a, Tel. 9-44-84.

przemiany

ROK III Nr. 3

Warszawa, 15 marzec 1936

Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy.
Jak dawniej był wyścig żelaza, jak dawniej był wyścig krwi.

JÓZEF PIŁSUDSKI

W roku 1936 dzień 19 marca nie będzie dniem radości. Naród czcić będzie w milczeniu i zadumie pamięć Komendanta.

Ale nie sentymentem, nie uczuciem, choćby głębokiem i serdecznem składać będziemy hołd cieniom Józefa Piłsudskiego.

Polska o jakiej śnił towarzysz Ziuk nie jest jeszcze realnością dokonaną. Niepisany testament Wodza, tak pięknie przekazany Narodowi orędziem Prezydenta Rzeczypospolitej, czeka na wykonawców.

Mamy głęboką wolę i stwierdzone tradycją wielu lat prawo stanąć w ich szeregu.

W gradacji haseł testamentu Józefa Piłsudskiego człowiek pracy poczesne zajmuje stanowisko. Jemu też wiele w Przemianach poświęcamy miejsca.

„Pracować musisz", głos ogromny woła,
Nie z potem dłoni twej lub twego grzbietu,
(Bo prac początek, doprawdy, jest nie tu)
„Pracować musisz z potem twego Czoła!"
— Bądź sobie, jak tam chcesz, realnym człekiem,
Nic nie poradzisz! twoje każde dzieło,
Choćby się z cudów Herkulejskich wszczęło,
Niedopełnionem będzie i kalekiem;
Pokąd pojęcie pracy, korzeń jeden,
Nie trwa, dopóty wszystkie tracą zgoła,
Głos brzmi w twej piersi: „postradałem Eden!"
Głos brzmi nad tobą: „pracuj z potem czoła".
Ekonomistów zbierz wszystkich i nagle
Spytaj ich, co jest pracy abecadłem?
Zacząć mam z czego? gdy na skałę wpadłem
Lub wiatr mię zdradził, zerwawszy pierw żagle,
Od czegóż zacząć? czy od dłoni potu?
Od ramion potu?... gdy brak i narzędzi!...
Gdy otchłań wkoło, a ty — na krawędzi...
. . . .
Zacznij.., by w głowie nie było zawrotu,
Więc głos ogromny znów jak pierwej woła:
„Pracować musisz z potem twego Czoła!"

CYPRJAN NORWID — z wiersza „Praca".

U podstaw przebudowy

JERZY JANKOWSKI

O ideę pracy

Gloryfikacji pracy, prób oparcia na niej właśnie zrębów ustrojowych, dążenia do znalezienia w idei pracy podstaw dla urzeczywistnienia sprawiedliwości społecznej należy szukać już u filozofów starożytności. Od nich to rozpoczyna się ciąg ideowy wielu prawd ludzkości, prawd, które poprzez wzloty i upadki doszły do dni naszych.

Wartoby poznać dokładnie koleje jakie przechodziła idea pracy w ciągu długich wieków, po to żeby dzisiaj zniknąć z praktyki życiowej, pozostając buńczucznie na szyldach i sztandarach.

W ubiegłem stuleciu „Manifest Komunistyczny" Marxa przywrócił pracy znaczenie hasła ustrojowego, a może raczej spopularyzował ideę pracy, jako mot d'ordre tych wszystkich, którzy dążyli do przebudowy ustrojowej.

Zdawaćby się mogło, że powstanie Związku Socjalistycznych Sowieckich Republik urzeczywistni ideał pracy, nietylko jako podstawy ustroju i gwarantki sprawiedliwości społecznej, ale i kierunkowej moralnej, miernika przygotowania obywateli do korzystania z dobrodziejstw rewolucji.

Stało się jednak inaczej! Stało się tak jak się dziać będzie zawsze ilekroć przebudowa nastąpi zawcześnie, zastanie obywateli nieprzygotowanych psychicznie na jej przyjęcie, myślących staremi kategorjami wartości. Przebudowę będą robiły jednostki przy oporze (czynnym lub biernym) mas, współtworzenie zastąpi siła. Symbol spracowanej dłoni szybko zastąpiony zostanie przez symbol pięści dzierżącej żelazo. Twórcy rewolucji przedstawią do dyskonta swe zasługi, pozostawiając pracę, jak dawniej, masom.

Dlatego to, uznając w pełni konieczność gruntownej przebudowy naszej polskiej rzeczywistości nie chcemy się ograniczyć do zmiany tekstów ustaw. Taki radykalizm pozostanie werbalnym, nie zaspokoi żądań mas, oczekujących na przebudowę, której skutki by do nich dotarły, a nie zaginęły w kwaterach nosicieli rewolucyjnych haseł. Oto powód dla którego idziemy na przebudowę na bardzo szerokim froncie. Materjalizm dziejowy, wysuwający złudę automatyzmu przemian duchowych w zależności od sposobu podziału chleba zawiódł nie w jednej już rewolucji.

* * *

Jakże wygląda kult pracy w dzisiejszej Polsce? Lata powojenne, a zwłaszcza ostatni tragiczny okres lat sześciu — to czasy olbrzymiej deprecjacji pojęcia i wartości pracy. Nie jest tu jedyną przyczyną nadmiar rąk do pracy, brak możliwości spożytkowania aparatu, dającego pracę — to wszystko co się syntetyzuje w prawie podaży i popytu. Rzeczywistość przekonała nas dostatecznie, że brak pola do pracy jest — o ile chodzi o nasze (i nietylko nasze!) stosunki — złudą, wynikłą z dawnego sposobu myślenia. Brak organizacji pracy, tak właściwy Polakom, potęguje tu jeszcze zjawisko, które nazwałbym kapitalizmem psychicznym. Polega on na tem, że czynniki mające do dyspozycji pracę nie rozpoczną nic przed wyszukaniem kapitalisty. To szukanie kapitalisty jest tak powszechnym nowotworem psychicznym, że udzieliło się nawet czynnikom rządzącym i dopiero w ostatnich tygodniach chodzą słuchy o jakiejś zmianie.

Przyczyny tego stanu rzeczy szukam w nieufności do pracy, jako czynnika produkcji, w deprecjacji jej znaczenia, w stale obniżającym się szacunku dla niej.

Typowym terenem dla badania tego zagadnienia jest wieś.

Bezrobocie wiejskie jest tylko przedmiotem badań. Nie wysyła się na wieś organizatora pracy, lecz czeka się na kapitalistę.

Praktycznie „kapitalista" ten wygląda tak, że idzie do miasta, umawia się z urzędem, samorządem, przedsiębiorstwem i t. p. o dostawę czy wykonanie robót, kalkuluje to, idzie na wieś, bierze chłopów z łopatami czy siekierami, albo ładuje na ich wozy ich własne zboże, siano lub kartofle, wiezie do miasta i dostaje pieniądze. Ten „kapitalista" zeznaje często lepiej od profesorów ekonomji, że łopata, siekiera czy wóz to także sensu largo kapitał, który można wykorzystać. Chłop, nad którego bezrobociem biada parę tysięcy ludzi w rządzie, sejmie, urzędach, prasie itp. dostaje za własną ciężką pracę okruchy, których mu udzieli „opatrznościowy kapitalista".

A spółdzielczość — zwłaszcza spółdzielczość pracy leży na obu łopatkach; jedynie Ukraińcy i Niemcy coś robią na tem polu.

W mieście mamy znów inne obrazki. Obok siebie współżyją na różnych stanowiskach społecznych dwie kategorje ludzi: ci co się przepracowują i ci co od pracy uciekają.

Weźmy jako przykład urzędy. Pewne kategorje urzędników mają dwunastogodzinny dzień pracy pół doby spędzają w biurze i nikt na to nie reaguje, choć jest to publiczną tajemnicą. Sytuacja jest tem przykrzejsza, że częstokroć są to bezpłatni praktykanci, których się ostatnio namnożyło tysiące.

Druga kategorja, to tacy, którzy wszelkiemi możliwemi sposobami od roboty się wymigują, nie zaniedbując wszakże wizyty w kasie na pierwszego. Mówi się o nich, że są wyrobieni życiowo i umieją się urządzić.

Jeśli spotyka się kilku kolegów szkolnych lub uniwersyteckich to w rozmowach o warunkach życiowych najbardziej szanowany jest ten, którego praca jest w odwrotnym stosunku do pobieranej pen-

sji. Stworzyła się już na tem tle taka psychoza, że ludzie którzy wkładają całą swą energję w robotę narażeni są nieomal na ostracyzm towarzyski.

I obok tego inny snobizm: Proszę tylko zauważyć ilu ludzi choruje na brak czasu. Są to przeważnie dygnitarze, którzy czynią wszelkie możliwe komedje, żeby wyolbrzymić swoje przepracowanie. Inni, mniejsi ludzie, naśladują ich skwapliwie. Te teatralia dowodzą jasno, że stosunek do pracy został spaczony.

A weźmy pod uwagę przypadki tak częste jak stałe przeszkadzanie w pracy drugim (co czasem jest wyrazem władzy nad pracownikiem) lub takie fakty jak wysyłanie tego samego człowieka w to samo miejsce z listami po 4—5 rązy dziennie. Praca przestała być wartością i ani pracodawca, ani pracownik nie widzi powodu żeby ją cenić.

Nie spotkałem jeszcze przełożonego, któryby (we własnym często zresztą interesie) powstrzymywał pracownika, który mówiąc popularnie „orze". Sam, jako pracownik pewnej instytucji miałem 12 godzinny dzień pracy. Gdy już zdrowie mi przestało dopisywać, a inne argumenty nie pomagały powołałem się na rozporządzenie o czasie pracy. I to właśnie powołanie się na obowiązujące, a chroniące moją pracę prawo wniosło poważny zgrzyt w moje dobre skądinąd stosunki z dyrektorem. Paradoks, co?

Jak widać ustawodawstwo, które miało być wyrazem uznania i szacunku dla pracy nie zawsze służy swemu celowi.

Stosunek proletarjatu do pracy w tych warunkach — nie dziwmy się — poczyna być wrogi. Praca chałupnicza, o której nam ciągle donoszą reportaże w dziennikach, jest wprost rozbojem we współczesnem państwie, rozbojem dokonywanym na bezbronnym na oczach ludzkich. Przykładem niech służą krawcy w Brzezinach i wielu innych.

Pracę robotnika zwykło się uważać tylko i wyłącznie za sposób zdobycia kawałka chleba.

Robotnik, któremu, jak nie tak dawna jeszcze tradycja niesie, „cniło się" bez roboty, który szanował tęgiego fachowca i umiał ocenić zdolnego inżyniera — dziś, pod wpływem narzuconych mu mierników, uważa pracę za zły los lub wyzysk i czeka kiedy będzie lepiej. Jak będzie i czy wtedy zniknie konieczność pracy, tego oczywiście nie umie powiedzieć.

Mało mamy w Polsce ludzi świecznikowych o których można powiedzieć „doszedł do czegoś własną pracą". To jest nawet niemodne.

Zdawać sobie musimy sprawę, że jeszcze rządzi pokolenie, dla którego terenem wybicia się była wojna, a postawa w polu zastępowała genjusz przy warsztacie. Wielu z tych (nie wszyscy!) co dziś rządzą ma za sobą tę właśnie wojenną legitymację. Gorzej jest natomiast, że młode pokolenie, które wojny nie przeżyło—nie ma prawa do kryterjów dawnych, a chęci do poddania się nowym.

W dobie obecnej nie brak prób przywrócenia pracy jej istotnego i prawdziwego znaczenia. Widomym znakiem tego mają być obozy pracy, których znaczenie propagandowe jest bodaj większe niż gospodarcze. Na defiladach obok wojska zaczynają się pojawiać oddziały z narzędziami pracy na ramieniu. Ustawodawstwo zniosło karanie pracą, wprowadzając ją do zakładów karnych, jako czynnik odbudowy psychicznej jednostek.

Ale tego wszystkiego jeszcze zamało. Jeśli stosunek do pracy, panujący w Polsce, stosunek wypaczony i opłakany w skutkach, ma się zmienić trzeba czegoś więcej niż słów pisanych w martwej ustawie lub wypowiedzianych w podniosłem przemówieniu.

Trzeba czynów! Czynów ciągłych, konsekwentnych, zmieniających smutną rzeczywistość na wszystkich frontach.

* * *

Nie jesteśmy entuzjastami pracy wyrażającej się w takich wyczynach, jak głośny niedawno sztandar utkany z włosów pracowitych Japonek; nie chcemy także, by pracą—i to społeczną—nazywano ruchliwość sprytnych macherów, robiących zamęt i polujących na medal.

Rozumiemy pracę, jako twórczość, jako krok naprzód w postępie jednostki czy grupy, jako wspólne budowanie Rzeczypospolitej — gniazda w którem mieszkamy.

I tylko takie rozumienie pracy może dać entuzjazm, może przetkać nicią idei codzienny wysiłek robotnika, chłopa czy pracującego inteligenta.

Ceniąc wysoko pracę obywatela chcemy uczynić z niej kryterjum rozdziału korzyści, bazę sprawiedliwości społecznej, która dziś jeszcze jakże jest daleka.

Codzienne pokłosie niekrępującego się niczem wyzysku człowieka pracy przez kapitał (niekoniecznie wielki i zagraniczny!), traktowanie pracy przez sfery rządzące, jako czynnik trzeciorzędny, zatrata szacunku dla własnej pracy wśród samych pracowników — oto fakty, których uświadomienie sobie niech się stanie początkiem walki o Ideę Pracy. Dziś jej jeszcze brak.

Bo Ustawę konstytucyjną nie dosyć napisać i ogłosić. Trzeba ją jeszcze wykonać...

NUMER KWIETNIOWY „PRZEMIAN" Z POWODU ŚWIĄT WIELKIEJ NOCY

UKAŻE SIĘ DNIA 20 KWIETNIA

STANISŁAW GRĄDZIELEWSKI — KATOWICE

Izby pracy jako problem społeczny i ustawodawczy

Zagadnienie Izb Pracy w Polsce nie od dziś jest aktualne. Z chwilą rozbudowy samorządu zawodowego przez powołanie na terenie całego państwa Izb Rolniczych, wszędzie struktura tego samorządu została nieomal wykończona. Mamy Izby Przemysłowo-Handlowe, Izby Rolnicze i Izby Rzemieślnicze, stąd w konstrukcji tej dała się zauważyć dotkliwa luka: zabrakło Izb Pracy. Problem powołania do życia Izb Pracy zaktualizował się tembardziej z chwilą wejścia w życie nowej Konstytucji, a zwłaszcza ordynacji wyborczej, które przewidują Izby Pracy, jako logiczne wykończenie systemu samorządów. Rząd jako ustawodawca już stosunkowo dawno zajmuje się Izbami Pracy, definitywne rozwiązanie tego problemu stale jednak odraczając. Jest to tem znamienniejsze, jeżeli zwrócimy uwagę na niezwykłą wprost szybkość z jaką załatwiano niejedne ważne ustawy. Tymczasem o Izbach Pracy mówiło się nie od dziś: raz poraz padały zapowiedzi z miarodajnych ust o powołaniu do życia Izb Pracy, prasa napisała jeden i drugi artykuł, rozpoczynano dyskusje, nigdy nie wiedząc dobrze jak Izby Pracy mają wyglądać. I tak sprawa powoli cichła, wreszcie zapominano o niej aż do następnego alarmu.

Tak dziwny i wyjątkowy los Izb Pracy wytłumaczyć trzeba tym prostym faktem, że kwestja powołania ich jest wysoce kłopotliwa i dla Rządu i dla związków zawodowych. Mamy takie wrażenie, że jedna i druga strona chętnie pozbyłaby się rozwiązania tego zagadnienia, odkładając je ad acta. Rząd zabiera się niechętnie do Izb Pracy, przyczem głównym, a bodajże jedynym motywem pobudzającym go jest potrzeba uzupełnienia struktury samorządów, a więc potrzeba czysto formalna. Związki zawodowe natomiast bardzo chętnie obyłyby się bez Izb Pracy, przyzwyczajone są bowiem do działania bez nich i wogóle nie mają wielkiego zaufania do narzuconego im zgóry intruza.

Jaki więc los czeka Izby Pracy? Pragnę zwrócić uwagę na dużą trudność w znalezieniu takiej konstrukcji Izb Pracy, która odpowiadałaby obu stronom. Jest rzeczą jasną, że władza państwowa w dzisiejszym układzie stosunków nie wyrzeknie się wygodnej roli medjatora w konfliktach między kapitałem a pracą. Nie można się więc zgodzić, aby na terenie świata pracy powstała nowa samodzielna siła, którąby władzy państwowej spełnienie tej roli medjatora utrudniła lub nawet uniemożliwiła. Ze strony władzy państwowej mogą więc być wysuwane dwie zasadnicze koncepcje:

1) Izby Pracy o dużych kompetencjach, ale silnie uzależnione od administracji,
2) Izby Pracy samodzielne, ale ze znikomemi kompetencjami.

Ze strony związków zawodowych natomiast przy zasadniczym braku chęci zajmowania się zagadnieniem Izb Pracy istnieje skłonność do forsowania:

Izb Pracy o dużej kompetencji, ale całkowicie niezależnych od władzy państwowej, a więc całkowicie zależnych od związków zawodowych.

No i powstaje oczywiście stosunek pobłażliwej tolerancji do Izb Pracy niezależnych, ale pozbawionych, istotnych kompetencyj i wszelkiego wpływu.

W tej sytuacji nie może ulegać wątpliwości, że pierwsza koncepcja rządowa (wcale zresztą niewysuwana) spotkałaby się ze zdecydowanym oporem czy nawet bojkotem ze strony robotniczej. Koncepcja związków zawodowych nie uzyska aprobaty czynnika rządowego, a więc skoro już muszą być Izby Pracy, bo tego wymaga potrzeba uzupełnienia struktury samorządów, to będą, ale takie bez znaczenia, o których robotnik będzie wiedział głównie dlatego, że mu potrącą nową złotówkę, jako obowiązkową składkę.

Obawiać się więc należy, że z Izbami Pracy będzie podobnie jak kiedyś z Senatem w Konstytucji z 1921 r. Prawica wówczas chciała mieć Senat i to z dużemi kompetencjami. Lewica zaś wogóle nie chciała Senatu. No i znaleziono złoty środek. Doszło do kompromisu—matki wszystkich głupich rozwiązań. Stworzono potworek bez sensu, powołano do życia Senat, wierne odbicie Sejmu bez żadnych istotnych kompetencyj. Izbom Pracy grozi dosłownie ten sam los. Innemi słowy obawiać się należy, że powstanie jeszcze jeden urząd więcej, który niewiadomo poco będzie istniał, będzie nieużyteczny, ale tolerowany.

Reasumując — Izby Pracy stanowią trudny problem ustawodawczy, niedojrzały jeszcze do realizacji. Niema bowiem dotąd jeszcze koncepcji Izb Pracy takich, któreby miały sens i rację bytu. Niema żadnej siły, którejby istotnie zależało na powołaniu do życia Izb Pracy, to znaczy, że gdybyśmy dziś żyli w nie tak jeszcze odległych „normalnych, parlamentarnych czasach" to na terenie parlamentu napewno nie byłoby żadnej poważniejszej grupy, która upomniałaby się o stworzenie Izb Pracy, nie walczyłby o nie również Rząd, niezależnie od koloru, prawicowy czy lewicowy.

Z tych wszystkich uwag nie wynika bynajmniej, by Izby Pracy nie stanowiły problemu społecznego i to ważnego, któryby trzeba umieć odważnie podjąć, zanalizować i tą drogą przyśpieszyć jego realizację.

Nie kusząc się ani o próbę podania koncepcji Izb Pracy, takiej która odpowiadałaby potrzebom chwili i naszym założeniom ideowym, ani

wreszcie o wszechstronne rozważenie społecznej strony tego zagadnienia, pragniemy wskazać na niektóre problemy, leżące odłogiem na terenie robotniczym, których obecne związki zawodowe nie zrealizują. Mogłyby je więc zrealizować Izby Pracy.

Związki zawodowe, zaabsorbowane w zupełności bieżącą walką o interesy robotnicze, nie mają czasu, ani też w zupełności nie są nastawione na pracę badawczą, jakżeż ważną dla skierowania na właściwe tory spraw robotniczych. Izby Pracy jako prawno-publiczne związki przymusowe miałyby niewątpliwie dostęp do wielu ciekawych materjałów, dotyczących warunków pracy, wysokości płac i t. p. Praca badawcza oczywiście nie mogłaby być sztuką dla sztuki. Wynikiem prac badawczych musiałyby być wydawnictwa na wysokim poziomie, dotyczące stosunków pracy, (brak daje się u nas dotkliwie odczuwać) oraz czysto konkretne materjały ustawodawcze. Z wyników tych prac korzystaćby mogły związki zawodowe.

Pozatem Izby Pracy miałyby większe niż ktokolwiek możliwości wystąpienia z szeroko pojętą inicjatywą ustawodawczą w dziedzinie ustawodawstwa społecznego. Nie potrzeba nadmieniać, że pod tym względem mamy wiele do zrobienia. Prace unifikacyjne w małym tylko stopniu dotknęły ustaw socjalnych. Stoi przed nami tak kapitalne zagadnienie, jak wprowadzenie w całem państwie ustaw:

1) o przedstawicielstwie robotniczem (Radach Zakładowych),
2) o umowach zbiorowych,
3) o demobilizacji gospodarczej (ustaw, które zdały na Śląsku egzamin życiowy, wychowując społecznie klasę robotniczą i przyczyniając się do likwidacji konfliktów, które gdzieindziej wybuchały i marnowały wiele energji społecznej, tu zaś dzięki wyżej wspomnianym ustawom były bezboleśnie załatwiane).

W ręku Izb Pracy, wespół ze związkami zawodowemi, znaleść się winna również inicjatywa zawierania umów zbiorowych, zagadnienia o niezwykłej doniosłości dla stosunków społecznych. Izby pracy, mając szerokie możliwości badania zagadnień stosunków pracy i płacy, mogłyby zebrać w swym ręku szereg cennych materjałów, któreby wykorzystano później przy zawieraniu umów zbiorowych. Zaryzykujemy twierdzenie, że gdyby dzięki Izbom Pracy większość naszego przemysłu udało się pokryć siecią umów zbiorowych, to już ukazałby się sens istnienia Izb Pracy. W ręku Izb Pracy mogłyby się znaleść również zagadnienie kontroli nad przemysłem.

Jako ważny problem wysunąłbym również stosunek Izb Pracy do Funduszu Pracy, a więc między innemi współudział czynnika społecznego, który winny reprezentować Izby Pracy przy rozwiązywaniu takich zagadnień, jak roboty publiczne, praca dla młodzieży bezrobotnej, Ochotnicze Drużyny Robocze, a w związku z tem spółdzielnie pracy itp.

Tych kilka problemów wskazuje wyraźnie na to, że jest dość miejsca dla instytucji, która mogła, by spełnić rolę czynnika wartościowego społecznie-wnoszącego do naszego życia walory pozytywne. Wydaje się, że Izby Pracy mogłyby tę rolę spełnić.

Aby jednak Izby Pracy swe zadania odpowiednio wykonały, a więc były czynnikiem postępu na daleką metę, muszą pozostawić w całej pełni dotychczasową niezależność ruchu zawodowego, nie mogą w żadnem wypadku przejmować jego kompetencji, wprowadzać przymusowych połączeń związków zawodowych, bo wtedy byłyby czynnikiem wstecznym, szkodliwym społecznie, a świat pracy od takich Izb Pracy odwróciłby się niezawodnie. Tu też tkwi największe niebezpieczeństwo, aby wartościowa zewszechmiar idea Izb Pracy nie została na długie lata „wykończona" przez nieopatrzną, błędną realizację.

Chcielibyśmy bowiem widzieć w Izbach Pracy czynnik postępu, który uporządkuje ważną dziedzinę naszego życia, stworzy właściwe ramy i formy dla samodzielnego ruchu robotniczego, nie tamując jego tendencyj wyzwoleńczych.

Dlatego tak wielką wagę przykładamy do Izb Pracy. Wolimy raczej opóźnienie ich realizacji, gdyż wierzymy w wielkie jutro ruchu zawodowego na platformie publiczno-prawnej. Izby Pracy mogą być właśnie czynnikiem, który ruchowi zawodowemu nadawać będzie moment publiczno-prawny, przyczyniając się do przygotowania chwili, kiedy związek zawodowy jednego warsztatu pracy zdolny będzie stać się komórką ustroju państwowego.

WALKA O IDEĘ W CZASACH ZUPEŁNEJ BEZIDEOWOŚCI TO TRUDNE ZADANIE.

JEDNAJ PRZYJACIÓŁ PISMU!

Ś. P. Edmund Kłopotowski

Wiecznie młody i twórczy odszedł od nas ś. p. Edmund Kłopotowski z czołowego posterunku pracy i walki o wielkość Polski i sprawiedliwość społeczną. Odszedł nagle, pozostawiając po sobie głęboki smutek i żal wśród nietylko najbliższych z rodziny ale kolegów, przyjaciół, młodzieży i towarzyszy pracy codziennej. Swoje wielkie, przepełnione po brzegi miłością, serce dzielił zmarły bez reszty od pierwszych lat młodości, aż po zgon między ludzi z którymi los go zetknął i między organizacje, którym dawał ofiarny, konstruktywny wysiłek. Najwięcej serca i myśli oddał jednak młodzieży, która była jego troską i ukochaniem. Darzył nas miłością i opieką w każdej godzinie swego życia, nietylko jak ojciec czy brat, ale jak prawdziwy kolega, który rozumie młodość — sam będąc młodym. Nad trumną jego stanęliśmy w bolesnej zadumie — wszyscy. I ci najbliżsi Jego duchowi i ci którzyśmy bezpośrednio z Nim nie pracowali. Odszedł od nas człowiek wielki w swej cichej, niezmordowanej pracy — zostawiając niezastąpioną lukę w wielu organizacjach, którym służył najgoręcej przez 33 lata działalności publicznej. Zabrakło Jego słonecznego ducha w gronie Rady Naczelnej Związku Senjorów Organizacji Młodzieży Narodowej, której był członkiem, zabrakło Go na wszystkich placówkach pracy—gdzie ślady Jego serca i myśli wydawały najpiękniejsze owoce. Od 14 roku życia idzie do wolnej Polski poprzez walkę o szkołę polską w Komitecie Strajku Szkolnego w Lublinie, pracę konspiracyjną w Warszawie, Związek walki Czynnej, P. O. W. i „Straż Kresową". W latach 1918-20 walczy jako ochotnik w pierwszych szeregach o utrzymanie świętej wolności ojczyzny. W niepodległej zaś Polsce walczy ś. p. Zmarły o drugi postulat narodu polskiego — sprawiedliwość społeczną. Oto nowe etapy Jego pracy w dążeniu do przebudowy Polski w duchu wielkości i sprawiedliwości społecznej: Centr. Zw. Kółek Rolniczych, Centr. Zw. Młodzieży Wiejskiej, Związek Rad Ludowych, Związek Naprawy Rzeczypospolitej, Zjednoczenie Pracy Wsi i Miast, Liga Morska i Kolonjalna, Fundusz Obrony Morskiej, Fundusz Szkolnictwa Polskiego Zagranicą Światowy Związek Polaków Zagranicą i Towarzystwo Pomocy Polonji Zagranicznej. Odszedł w krainę ciszy i ukojenia. wierny do ostatniej chwili życia swemu sztandarowi, na którym jaśnieją złotym blaskiem tylko dwa słowa „Dla Polski" — Dla nas młodych ś. p. Edmund Kłopotowski to żywy symbol i wzór cnót obywatelskich. To źródło wskazań i myśli—to najgłębsza miłość — ucieleśnienia i realizowania w trudzie ofiarnym i codziennym świetlanego Jutra Polski.

Cześć Jego pamięci.

W dniu 30 marca b. r. rozpoczyna się tydzień Polskiego Związku Zachodniego.

Odwieczny problem polsko-niemiecki wymaga nieustannej bacznej uwagi ze strony całego społeczeństwa polskiego. Dni ostatnie zarysowujące zupełnie wyraźnie niebezpieczeństwo grożące nam z zachodu tem więcej skłaniają nas do analizy tego trudnego zagadnienia.

Uczucie lęku szerzone zazwyczaj przez narodowców dziwnego nabożeństwa zastąpić trzeba silną organizacją świadomego i gotowego do czynu społeczeństwa. Zamieszczając dwa artykuły z tego zakresu wzywamy czytelników i przyjaciół pisma do poparcia akcji, którą Polski Związek Zachodni tak bezmała piętnaście prowadzi.

REDAKCJA.

Dr. C. S.

Polacy w Niemczech

wobec przebudowy ustroju Trzeciej Rzeszy

Narodowy socjalizm, stojąc na stanowisku, że nie mogą zasadniczo istnieć żadne przejawy życia publicznego i prywatnego, w które państwo nie może ingerować, przeciwstawił państwu liberalnemu ideę państwa totalnego.

Zwycięstwo tej idei nakazywało zlikwidować— z zachowaniem jedynie poszanowania osobowości— wszelkie prawa, zagwarantowane jednostce w państwie liberalnem. Logicznem następstwem nowego stanu rzeczy musiało dalej być usunięcie przedstawicielstwa narodowego, jako zbędnego w postaci dotychczasowego parlamentu, skoro państwo nie widzi między sobą a narodem żadnej różnicy, funkcje prawodawcy spełnia rząd, a Reichstag— nie będący zresztą przedstawicielstwem narodowem w pojęciu demokratyczno-parlamentarnem — jest zwoływany tylko w wyjątkowych okolicznościach. Państwu totalnemu jest również obce pojęcie partyj politycznych, to też po zlikwidowawaniu dawnych tworzenie nowych zostało zabronione. Uznawany jest tylko jeden światopogląd, a zatem i jedna partja. Dalszym postulatem państwa totalnego jest „zglajchszaltowanie" wszystkich związków i organizacyj, w których kierownictwo objęliby narodowi socjaliści, a które już przeważnie zostały podporządkowane organizacjom narodowo-socjalistycznym.

W tych warunkach życie Polaków w Niemczech jest szczególnie trudne. Półtoramiljonowa ludność polska nietylko nie ma swego przedstawicielstwa parlamentarnego, bo nie uznaje tego system narodowo-socjalistyczny, ale wobec systemu, niwelującego wszelkie zróżnicowanie społeczeństwa, natrafia na ogromne trudności, zagra-

żające zachowaniu odrębności narodowej i organizacyjnej.

Tendencja „glajchszaltowania" zagraża w pierwszym rzędzie młodzieży. Wprawdzie Hitler stwierdził, że Trzeciej Rzeszy obca jest chęć germanizowania kogokolwiek, niemniej jednak oświadczenie to nie jest zgodne z praktyką, bo przymusowe organizacje młodzieży (Hitlerjugend, Jungvolk, Arbeitsdienst) dążą do zagarnięcia młodzieży polskiej, by wychować ją w niemieckim duchu narodowo-socjalistycznym. Przeciwstawienie się tej tendencji jest niesłychanie trudne i skomplikowane, wymaga ciągłych, niezawsze skutecznych interwencyj.

Wyjątkowo groźne jest obowiązujące (niestety również Polaków prawo o zagrodzie dziedzicznej. Organizacja stanu chłopskiego w Niemczech powołana została dla „utrzymania krwi niemieckiej" i uzależnia od siebie chłopa w ogromnym stopniu. Zostało mu odebrane prawo samodzielnego dysponowania zagrodą i wyprodukowanemi dobrami. Prawo o zagrodzie dziedzicznej przewiduje, że w pewnych bliżej nieokreślonych wypadkach można chłopa pozbawić ziemi. Te bliżej nieokreślone warunki stawiają naturalnie chłopa w bardzo silną zależność od stanowej organizacji niemieckiej i narażają go na odpadnięcie od polskości lub utratę warsztatu pracy.

Poza trudnościami natury organizacyjnej i gospodarczej, o których szerzej trudno mówić w ramach krótkiego artykułu, trzeba jeszcze, choć krótko, wskazać na warunki egzystencji prasy polskiej w Niemczech. Niema tam prawa pracować w dziennikarstwie nikt, kto nie jest wpisany na listę publicystów, a wpisanie to jest uzależnione od zdania egzaminu, w którym trzeba wykazać się przedewszystkiem znajomością zasad narodowego socjalizmu. Dziennikarz musi dalej zobowiązać się, że będzie pracował na korzyść narodu niemieckiego. W razie przekroczenia przyjętych zobowiązań otrzymuje napomnienie, a trzy napomnienia powodują wykreślenie z listy publicystów i niemożność wykonywania zawodu przez całe życie. Od obowiązku wpisania się na listę publicystów i podporządkowania się wyżej wymienionym rygorom nie są naturalnie zwolnieni Polacy, a nie trzeba dodawać, że napomnienia otrzymują bez uzasadnionych podstaw, nie mając prawa odwołania się do żadnej instancji.

W tych warunkach niesłychanego nacisku i skrępowania prasa polska w Niemczech z dużym trudem może spełniać swą rolę.

Tak więc nie specjalne prawa, stosowane, jak dawniej, do Polaków w Niemczech, ale ogólnie obowiązujące w Niemczech prawo staje się ogromnem niebezpieczeństwem dla życia kulturalnego, gospodarczego i organizacyjnego Polaków w Niemczech.

Niebezpieczeństwo to jest tem większe, że w kierunku wyparcia kultury polskiej z granic Rzeszy pracują jeszcze liczne organizacje niemieckie, jak Bund Deutscher Osten, Volksbund für das Deutschtums im Auslande i inne, wytwarzające dokoła ludności polskiej w Niemczech atmosferę wrogości i ucisku. Walka społeczeństwa niemieckiego z ludnością polską toczy się również na polu gospodarczem poprzez nacisk kapitału niemieckiego na ekonomicznie słabych Polaków. Walka przeszła również na teren Kościoła, gdzie duchowieństwo niemieckie kasuje polskie nabożeństwa, polskie organizacje religijne i naukę katechizmu w języku polskim.

Akcja germanizacyjna — mimo oświadczeń Hitlera, że obca jest mu myśl wynaradawiania, mimo ciągłych protestów ludności polskiej w Niemczech — idzie na wszystkich odcinkach wytrwale i systematycznie naprzód i tylko wielki wysiłek Polaków w Niemczech może się jej przeciwstawić skutecznie. W tej walce potrzeba im oparcia moralnego i materjalnego. Świadomość, że za nimi stoi całe społeczeństwo polskie w kraju i że gotowe jest przyjść im w każdej chwili z pomocą na rozbudowę ognisk kultury polskiej w Niemczech musi doprowadzić do zwycięstwa.

ANTONI CIEŚLICZAK

Niebezpieczeństwo, które wciąż grozi

Program NSDAP «National-Sozialistische Deutsche Arbeiter — Partei» z 24. 2. 1920 r., zawarły w 25 punktach, jest realizowany przez partję narodowo-socjalistyczną — od chwili objęcia przez nią w r. 1933 steru rządów w państwie niemieckiem — z przysłowiową niemiecką systematycznością. Niedawno temu min. Rzeszy, dr. Goebbels, na wielkim meetingu partyjnym w Magdeburgu, wyraził ową niezmienną tendencję partji do całkowitego wprowadzenia w życie programu w słowach następujących: «Nie odstąpimy ani na krok od naszego programu. Program nasz zostanie zrealizowany bez reszty, w zależności od warunków. Leży przed nami daleka droga, ale przecież i cele nasze, do których zmierzamy, są wielkie!» Sformułowanie to, wypowiedziane przez jednego z czołowych przedstawicieli ruchu narodowo-socjalistycznego, nie pozostawia więc żadnych wątpliwości co do istotnych zamiarów Niemiec w odniesieniu do problemów i zagadnień, sprecyzowanych w historycznych 25 punktach programu NSDAP, a czekających na realizację ich przez narodowy socjalizm «w zależności od warunków».

Z 25 punktów programu NSDAP interesuje nas w chwili obecnej przedewszystkiem punkt pierwszy, postulujący połączenie wszystkich Niemców w jedno państwo. Jeśli czołowy teoretyk narodowego socjalizmu, Gottfried Feder,

wyjaśniał, że chodzi tu o «złączenie w jedne państwo wszystkich szczepów niemieckich», to istotny sens tego punktu przedstawił się nam wtedy w najwłaściwszem świetle, odsłaniając bez reszty zasadnicze tendencje niemieckiej polityki ekspansywnej na najbliższą przyszłość. Kto jest jednak — w zrozumieniu programu narodowo-socjalistycznego — Niemcem? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy również u teoretyków narodowo-socjalistycznych, stwierdzających jednogłośnie, że Niemcami — sensu largo — są nietylko ci Niemcy, którzy znajdują się w tej chwili w niemieckich granicach państwowych, lecz również i t. zw. Niemcy pograniczni, zamieszkujący tereny, graniczące z państwem niemieckiem (np. Austrję, Gdańsk, Pomorze, Wielkopolskę i Śląsk). Zatem i tych Niemców ma objąć i uczynić obywatelami przyszłe — narodowo-socjalistyczne — państwo niemieckie, t. zw. Wielkie Niemcy.

Jeśli chodzi o szczepy niemieckie, to za takie uważają teoretycy narodowo-socjalistyczni także mieszkańców Śląska («Schlesier — ein deutscher Stamm»), uzasadniając niemieckość ludności Śląska całkowitem jej poddaniem się wpływom kultury niemieckiej. Takimi samymi Niemcami «z kultury» — ale mimo to Niemcami! — mają też być mieszkańcy Mazur, Warmji, Gdańska, Pomorza i Wielkopolski!

Reasumując stwierdzamy: Niemcy narodowo-socjalistyczne, budując t. zw. Wielkie Niemcy, nie wyrzekają się ani na chwilę ziem, zabranych kiedyś Polsce. Nie wyrzekają się one również ludności tych ziem, którą uważają za równowartościową z ludnością Niemiec naskutek silnego oddziałania na nią w przeszłości kultury niemieckiej...

* * *

Fakty powyższe należy bezwzględnie mieć na uwadze, przy analizie wypadków, jakie ostatnio miały miejsce w polskiej części Górnego Śląska, gdzie władze państwowe zlikwidowały tajną, o założeniach irredentystycznych, niemiecką organizację p. n. «National — Sozialistische Deutsche Arbeiter — Bewegung» (NSDAB) (Nar. Socj. Niemiecki Ruch Robotniczy). Organizacja ta rozwijała w ostatnim czasie na szeroką skalę akcję propagandową i werbunkową, zmierzającą do oderwanie od polskiego organizmu państwowego części jego terytorjum. Akcja ta była finansowana i prowadzona przez czynniki zewnętrzne, zainteresowane w tem, by myśl oderwania G. Śląska od Polski mogła doczekać się w tej czy innej formie pełnej realizacji.

W tym celu, na terenie całego Województwa Śląskiego, organizowano zbrojne oddziały, które w dogodnym momencie miały wywołać powstanie przeciwko Państwu Polskiemu. Na zebraniach konspiracyjnych dyskutowano szeroko możliwości oderwania G. Śląska od Polski, przyczem brano pod uwagę trzy możliwości: a) kupno Śląska przez Niemcy, b) przyłączenie do Niemiec w drodze specjalnej umowy, c) zawładnięcie G. Śląskiem przez czyn zbrojny. Powstanie, wywołane przez zorganizowane oddziały niemieckie, miałoby dać Rzeszy Niemieckiej podstawę do uczynienia z zagadnienia G. Śląska przedmiotu rozmów i targów z Polską.

Niepokojące rozmiary całej tej akcji podziemnej zmusiły ostatecznie władze polskiej do interwencji, w wyniku której zlikwidowano NSDAB a kierowników jej osadzono w więzieniu.

* * *

Konfrontując wypadki powyższe z zasadniczemi założeniami narodowego socjalizmu na jednym odcinku jego polityki zewnętrznej, mianowicie w dziedzinie ekspansji politycznej państwa niemieckiego poza jego własne granice państwowe, stwierdzić musimy istnienie bardzo ścisłego związku między obu faktami. Wypadki na Śląsku winny być dla nas — ze względu na to ścisłe ich powiązanie z niemieckiemi tendencjami imperjalistycznemi — ostrzeżeniem, którego nie należy bagatelizować i nad którem nie wolno przejść w żadnym wypadku do porządku dziennego.

WILHELM TSCHURL — POZNAŃ

Dzieje się źle...

W wartościowaniu zagadnień wybijających się na czoło naszego życia społecznego, reprezentujemy pogląd, że szkolnictwo należy niewątpliwie do tych kilku kwestyj o charakterze zasadniczym, które decydują o przyszłości każdego państwa.

Napewno nie jest rzeczą przyjemną pisanie, a zwłaszcza stwierdzanie rzeczy przykrych, smutnych, bolesnych. Napewno odwagi wymaga postawienie rzeczy, spraw, zagadnień w sposób dostatecznie wyrazisty i szczery, zwłaszcza gdy wiążą się one z wielu złożonemi trudnościami życia.

Sprawy oświaty i ustroju szkolnictwa, ściśle — zasady powszechności i jednolitości szkolnictwa napotykają na ogromne trudności realizacyjne. Byłoby błędem udawanie, że się tych trudności nie widzi czy bagatelizuje je; że się im nie przypisuje właściwego znaczenia.

Nic też dziwnego, że opinja publiczna Polski przywiązuje dużą wagę do tego co się mówi i jak się mówi o postępach walki o utrzymanie oświaty. Należy przyznać, że zarówno w komisji Sejmu, jak i ostatnio w komisji Senatu zagadnieniom tym poświęcono wiele czasu i staranności ich rozważeniu. Słyszeliśmy tam mocne słowa, śmiałe sformułowania, dosadne postulaty. Czy głosy te spowodują jednak istotne zmiany w szkolnictwie, czy przywrócą wykonywa-

nie przymusu szkolnego, a co najważniejsze, czy umożliwią wynalezienie pomieszczeń dla tysięcy dzieci, znajdujących się dotąd bez nauki, — oto pytania, które nadal pozostały bez odpowiedzi.

I.

Troski te, które obecnie szczególnie silnie występują, nie powstały z wczoraj na dziś. Myśl o potrzebie dokonania szerszej reformy towarzyszyła każdej zmianie na stanowisku ministra tego tak bardzo odpowiedzialnego resortu, którego polityka ześrodkowuje w sobie najbardziej nowoczesne pojęcie o stosunku obywatela do państwa. Nic więc dziwnego, że na przestrzeni ostatnich lat obserwować mogliśmy wielkie ożywienie prac nad budową nowych programów oraz wypracowaniem najbardziej słusznych zasad ustroju. Rzeczową i fachową dyskusję publiczną zapoczątkował w swoim czasie minister W. R. i O. P. dr. Gustaw Dobrucki.

Do chwili tego wystąpienia organizacja szkół w Polsce była taką, jaką odziedziczyliśmy po zaborcach. Mieliśmy więc przedszkola (t. zw. popularnie ochronki) zakładane i utrzymywane przeważnie przez samorządy, bądź instytucje humanitarne, szkoły powszechne, niekiedy aż 9-cio oddziałowe, szkoły t. zw. wydziałowe na Pomorzu i w Wielkopolsce, szkoły średnie 8-mio klasowe oraz szkoły zawodowe licznych rodzajów i stopni. Nadto szkoły wyższe, akademickie oraz dokształcające kursy różnego rodzaju. Narzekano na wadliwość programu, na niski poziom młodzieży, wstępującej do wyższych uczelni, narzekano, że szkoły nasze zanadto oderwane są od życia, że szkoły zawodowe uważa się za coś mniej wartościowego od szkoły ogólno-kształcącej i że w związku z tem szkoły nasze powodują nadprodukcję i proletaryzację inteligencji· I kiedy w tej sytuacji stanęliśmy poraz pierwszy przed konkretnemi próbami dokonania reformy ustroju szkolnictwa, a właściwie wprowadzenia wogóle jakiegoś sprawiedliwego ustroju, elementy reakcji społeczno-politycznej, zresztą nie poraz pierwszy, czyniły wszelkie wysiłki, aby nie dopuścić do wprowadzenia nowych zasad moralnych i organizacyjnych w dziedzinie wychowania publicznego.

Mimo jednak najrozmaitszych trudności i sprzeciwów t. zw. opinji publicznej wielka ustawa o ustroju szkolnictwa weszła wreszcie w życie (11 marca 1932 roku). Miała zmienić strukturę szkolnictwa, podnosząc do roli podstawy całego ustroju szkolnego zapoznawaną 7-mio klasową szkołę powszechną oraz nadać szkole polskiej nowe oblicze ideowe przez wprowadzenie do wszystkich typów szkół nowych programów. Pierwsze stadjum realizacji tej ustawy mamy dzisiaj już poza sobą. Warto się z tej okazji zastanowić, o ile została w tym okresie zrealizowana zasada powszechności nauczania oraz jakie perspektywy poprawy daje codopiero przedyskutowany w Izbach budżet oświaty.

II.

Według ostatnich danych w szkołach powszechnych pobiera naukę ogółem 4.654.800 dzieci, co stanowi 14,6% w stosunku do całej ludności państwa. W województwach centralnych dzieci te stanowią 13,1% ogółu ludności, w zachodnich 14,7%, w południowych 13,3% — zaś najmniejszy odsetek notujemy w województwach wschodnich, bo wynoszący zaledwie 11%.

Zatem w województwach, mających największy przyrost ludności, dzieci w szkołach jest najmniej i odwrotnie województwa zachodnie z najmniejszą ilością dzieci w wieku szkolnym mają uczniów w szkołach najwięcej. Już te same cyfry, tak różne dla rozmaitych dzielnic dowodzą, że nie wszystkie dzieci w wieku szkolnym pobierają naukę. Ile takich dzieci jest u nas dokładnie niewiadomo. Nie mamy przecież w tej mierze ścisłej statystyki. Według spisu ludności z roku 1921 dzieci w wieku 7—13 lat stanowiły 18,7% ogółu ludności. Gdyby zatem obliczenie to zastosować do obecnej ludności (dla braku wyników ostatecznych w spisie z 1931 r.) to okazałoby się, że dzieci w wieku szkolnym jest obecnie ponad 6 i pół milj. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że pewna, dość znaczna liczba dzieci uczęszcza do rozmaitych innych zakładów naukowych (szkoły średnie i zawodowe) okaże się wówczas, że conajmniej miljon dzieci w Polsce nie uczy się wcale.

Zastanówmy się teraz, w jakim stopniu przebudowa programowa uwzględniła wszystkie stopnie szkół powszechnych w Polsce. Na 8.689 tys. mieszkańców miast liczono dzieci w szkołach powszechnych — 1.170,5 tys. t. j. 13,4%, na wsi zaś na 23.444,5 tys. mieszkańców, dzieci było w szkołach 3.344,3 tys. t. j. 15,3% (w liczbach zaokrąglonych). Tym sposobem wieś jakby była w lepszem położeniu od miasta. Jeżeli jednak chodzi o zapewnienie dzieciom pełnego programu 7-miu oddziałów, to stosunek będzie wręcz odwrotny. W miastach bowiem olbrzymia większość dzieci pobiera naukę w szkołach wyżej zorganizowanych. Najlepiej pod tym względem stoi sprawa podobno w Warszawie, która posiada tylko 7-mio oddziałowe szkoły. Inna rzecz, że tych szkół jest stanowczo za mało, tak że conajmniej braknie miejsca dla blisko 50.000 dzieci: Jak na stolicę współczesnego państwa europejskiego trochę zadużo... Na mniejszą skalę obserwujemy to zjawisko i w innych większych miastach, jak Łódź, Poznań, Lwów, Wilno czy Kraków.

W jeszcze gorszem położeniu znajduje się wieś. Wprawdzie dzieci, pobierające naukę w szkołach powszechnych stanowią 14,3% ogółu ludności, a więc stosunkowo więcej, aniżeli w miastach, ale za to blisko 45% tych dzieci uczęszcza do szkół jedno i dwu-oddziałowych, a tego typu szkół stanowią 70% wszystkich. Jeżeli wziąć pod uwagę fakt, że np. w województwach wschodnich właściwie połowa dzieci chodzi do szkół najniżej zorganizowanych — a więc jedno-oddziałowych, uprzytomni nam się w całej grozie bardzo duże niebezpieczeństwo t. zw. powrot-

nego analfabetyzmu. Jakże często w tych warunkach dziecko kończy swą „edukację" na tym pierwszym oddziale (gdy o większą szkołę trudno w pobliżu) i w parę lat wraca do stanu pierwotnego, zapominając całkowicie nawet czytania.

Szkolnictwo nasze staje więc zaraz od początku reformy wobec trudności zapewnienia nauki tym dzieciom, które mogłyby nie poprzestać na jednym czy dwóch oddziałach szkoły powszechnej. Trudność to tem większa, że szkoły średnie znajdują się w ośrodkach miejskich, posiadających rozmaite bursy, internaty lub stancje dla uczniów. Szkoły powszechne, o ile nie znajdują się w większych miastach, udogodnień tych są zazwyczaj pozbawione całkowicie i dzieci dla braku szkół siedmio-oddziałowych w pobliżu są pozbawione właściwie nauki, trudno bowiem codziennie chodzić do szkoły kilkanaście kilometrów. Zamożniejsi rodzice są w stanie oddać dzieci do szkoły powszechnej prywatnej, dla mniej zamożnych (a tych jest większość) szkoła ta jest niedostępna.

Niemniej trudnym szkopułem do usunięcia jest brak dostatecznej liczby nauczycieli, których obecnie jest w szkołach powszechnych 81.495, na jednego zatem wypada przeciętnie 57,1 uczniów, przytem w miastach 52,6-na wsi często aż do 60. Pomijając to, że zwykle do miast idą lepsze siły nauczycielskie, trzeba stwierdzić, że przy 60 dzieciach najlepszy nauczyciel nie może ściśle stosować się do programu nauki. Przy najlepszych chęciach nauczyciel nie jest w możności poprowadzić więcej niż 40 dzieci, przy obecnym zatem stanie szkolnictwa powszechnego, potrzeby jego w zakresie personelu pedagogicznego sięgają cyfry 116 i pół tys. Brak zatem 35.000 nauczycieli. Jeżeli wziąć pod uwagę, że szkolnictwo powszechne spada obowiązek zastąpienia szkół średnich w zakresie pierwszych trzech klas, to sprawa powiększenia liczby nauczycieli staje się tembardziej paląca. Dla 1 milj. dzieci, znajdujących się dzisiaj bez nauki potrzebaby 25 tys. nauczycieli.

Cały jednak paradoks sytuacji polega na tem, że tysiące nauczycieli są bez chleba, a kuratorja od kilku lat przeważnie nie przyjmują podań o posady nauczycielskie lub proponują głodnym absolwentom seminarjów półroczną bezpłatną praktykę.

„Winniśmy przedewszystkiem stwierdzić i takiem jest stanowisko Rządu, że pomiędzy istotnemi i w sposób niewątpliwy ustalonemi potrzebami naszej oświaty, a naszemi możliwościami budżetowemi zachodzi jaskrawa rozpiętość"

„...jednym z punktów programowych Rządu jest, aby w dziedzinie budżetowej uczynić wszystko, co jest możliwe, celem ułatwienia pracy oświatowej". (wyjątki z exposé premjera Kościałkowskiego).

Czy istotnie? Przyjrzyjmy się dla porównania poglądowym cyfrom, obrazującym wydatki na oświatę z budżetu Państwa, Skarbu Śląskiego i Związków Samorządu Terytorjalnego w latach 1932—1935, a więc za pierwsze trzy lata szkolne, podczas których realizowano już reformę ustroju szkolnictwa.

Ogółem wydatkowano w roku szkolnym 1932/33 sumę 422,7 milj. złotych w tem 413,2 w wydatkach zwyczajnych, w nadzwyczajnych zaś 9,5 milj. W tem Państwo dało 321,2 milj., Skarb. Śl. 26,6 milj., samorządy 65,4 milj. W następnym roku notujemy już spadek o 7 milj. złotych, z czego 5 milj. przypada na samorządy, podczas gdy w roku następnym 1934/35 świadczenia te wynoszą już tylko 411,2 milj. złotych.

Premjer Kościałkowski w tej części przemówienia, która odnosiła się do potrzeb naszego szkolnictwa podkreślił, że najlepszym wyrazem zrozumienia przez Rząd tych potrzeb nowych, przez rzeczywistość narzucanych jest podwyższenie o kilka milj. świadczeń Państwa na rzecz oświaty. Mówiło się wówczas o 7-miu milj. Podwyżka ta nie zbliżyła nas jednak nawet do stanu z roku 1932/33.

W latach 1932/33 i 1933/34 świadczenia Skarbu Państwa na oświatę wynosiły odpowiednio 14,9% i 14,7%, ogólnych wydatków budżetowych tych lat, natomiast już w następnym roku procent ten spadł do 14,1%. Zestawienie budżetu z roku 1932/33 z budżetem z 1934/35 wykazuje nadwyżkę wydatków państwa większą w dziale oświaty niż w administracji, czyli że w przeciągu trzech lat redukcje budżetowe w pierwszym rzędzie dotknęły potrzeby szkolnictwa, bowiem odpowiednie cyfry obrazujące spadek świadczeń skarbu państwa wynoszą w administracji o ca 4,7% mniej niż w dziale oświaty.

Już te pobieżne i bardzo niekompletne zestawienia wyraźnie wskazują na wielkie trudności budżetowe w jakich się w obecnym roku znajduje nasze szkolnictwo. Na pomoc ze strony samorządu terytorjalnego walczącego dziś z niemniej wielkiemi trudnościami finansowemi liczyć nie można. Jeszcze mniej zrobić mogą stowarzyszenia oświatowe czy instytucje, nie mówiąc już o inicjatywie prywatnej. Dane o pracy oświatowej wojska też nie są specjalnie pocieszające, gdyż i tam ilość uczących się systematycznie maleje. W tych warunkach jasnem się staje, że tylko stabilizacja bezwzględna wydatków na szkolnictwo powszechne może przynieść ratunek zagrożonej pozycji naszej oświaty. Realizacja postulatu powszechności oświaty wydaje się przy obecnym stanie coraz bardziej niemożliwa.

— — — — — — — — — — — —

Ogólnikowe uwagi niniejsze bynajmniej zagadnienia nie wyczerpują. Zagajają je tylko...

JAN KULTYS

Nowa partja na horyzoncie

Od dłuższego czasu pisma endecko-klerykalne wszczęły na łamach swej prasy żywą kampanję o stworzenie w Polsce katolickiego stronnictwa politycznego. Chodzi o utworzenie ugrupowania politycznego na wzór przedhitlerowskiego Katolickiego Centrum w Niemczech. Hasło do tej kampanji dano w obozie klerykalnym po śmierci Marszałka Piłsudskiego, kiedy idea solidaryzmu społecznego, za którym kler czuł się bezpieczny, zaczęła kruszeć. Na gruzach tego solidaryzmu powstają najprzeróżniejsze ugrupowania, przeważnie lewicowe, które dążą do jednolitego frontu ludowego. Aktualną jest więc akcja montowania jako przeciwwagi politycznego stronnictwa katolickiego.

Od dziesiątków lat uprawiana polityka w konfesjonałach, na ambonach, w bractwach różańcowych i ostatnio w Akcji Katolickiej dąży do wyjścia ze wstydliwych mroków krucht kościelnych na szeroką arenę życia politycznego, na arenę walki o wpływ i dalsze przywileje kleru w państwie. Czem zapłaciła przedrozbiorowa Polska za te przywileje wiemy wszyscy. Lekcja historji tak drogo okupiona przez naród polski, nie może pójść na marne.

Kler jednak nie liczy się z interesami narodu polskiego, gdyż jako organizacja międzynarodowa ma inne cele na widoku. Klasycznym wyrazem tych celów jest zdanie: „jeśli ojczyzna ziemska zginie, przy niebieskiej się ostoim". Oczywiście za tą historyczną formułą kryją się najbardziej ziemskie interesy kleru, maskowane niebieskiemi względami.

„Pro Christo", miesięcznik młodych katolików ze stycznia b. r. tak potrzebę katolickiej partji uzasadnia: „Wszystko dziś jest „polityką". Walka o sprawiedliwy ustrój społeczny jest„ polityką", walka o wychowanie katolickie jest „polityką", a nawet walka o uszanowanie kościołów i kapłana katolickiego już dziś także jest „polityką". Dziś polityka podchodzi do samego ołtarza". Przynajmniej raz szczerze i jasno postawiona sprawa. Tak szczerze, że aż demaskuje wielowiekową „bożą pracę" kapłana katolickiego o szacunek dla którego trzeba aż walczyć. Że polityka podchodzi dziś do samego ołtarza wiemy o tem niestety oddawna aż nadto dobrze. Notowaliśmy wielokrotnie „chrześcijańskie wyczyny" kleru katolickiego w Polsce, wołające o pomstę do nieba. Przykłady możemy przytoczyć na żądanie.

Ale idźmy dalej. „Mały Dziennik" (15. I. 36 r.) tak o tem pisze: „Niejednokrotnie na łamach naszego pisma dawaliśmy wyraz przekonaniu, iż katolicy w Polsce nie powinni stać na uboczu poza wartkim prądem życia... Jesteśmy w Polsce wielką siłą liczebną, ale nasza bierność jest przyczyną, iż musimy ciągle tylko zajmować pozycję obronną". „Mały Dziennik" jest niby skromny, ale nieskromnie judzi i fałszuje rzeczywistość, bo przecież właśnie kler prowadzi gwałtowną agresywną walkę o cofnięcie życia społecznego w Polsce w mroki średniowiecza. Szerzycielami tych mroków, propagatorami zabobonu i ciemnoty, rozsadnikami zakłamania moralnego i kołtuństwa są właśnie takie organy Akcji Katolickiej w Polsce jak „Rycerz Niepokalanej", „Mały Dziennik", „Pro Christo", i setki najróżnorodniejszych djecezjalnych pisemek, które sprzedają na gramy cudy maluczkim prostaczkom. Wydawnictwa klerykalne, kierowane przez Katolicką Agencję Prasową i Akcję Katolicką zalewają formalnie wsie i miasteczka, jak lawina niszcząca zdrowy sens zbiorowego życia społecznego i nie napotykają na poważniejszą kontrakcję z braku środków materjalnych obozu postępowego, który rekrutuje się ze świata pracy. Któż tu więc zajmuje pozycję obronną?

Jeśli mimo to zdrowy sens opinji społecznej istnieje naprzekór wszelkiej akcji katolickiej,to tylko dowód idącego z postępem ducha czasu, jaki w psychice nawet tych najciemniejszych robi coraz większe wyłomy. Procesu tego kler nie odwróci za żadną cenę, nawet przy pomocy partji politycznej katolickiej, o której upomina się również „Dziennik Bydgoski" w cyklu artykułów w numerach z dnia 15, 16 i 17 stycznia b. r.

Jest rzeczą bardzo ciekawą, jak ustosunkowują się władze kościelne katolickie do tych nawoływań. Władze te zdają sobie doskonale sprawę, że powołanie do życia katolickiej partji politycznej groziłoby w dalszej konsekwencji kościołowi katolickiemu w Polsce wielkiemi niebezpieczeństwami. Walka polityczna partji katolickiej poderwałaby zaufanie do kleru tych wszystkich, którzy jeszcze wierzą w górne motywy jego postępowania. Formy walki politycznej są tak specyficzne, że otwierają oczy na wiele zagadnień w tempie przyspieszonem i nicują przeciwników politycznych bardzo skutecznie. Kler ma słuszne powody, by się bać takiej walki, cele jego nie postulują bowiem programu sprawiedliwości społecznej dla mas, ale tylko katolicką, która od dwu tysięcy lat błogosławi wszelkie rzezie narodów, a często sama je inspiruje. Stąd też władze kościelne hamują zapędy różnych gorliwców z Bydgoszczy i Niepokalanowa i doradzają inną taktykę walki, taktykę kominternowską.

Uderzające jest zestawienie metod pracy politycznej i ich zgodność. Tak, jak bolszewicka międzynarodówka usiłuje przeniknąć do różnych organizacyj przez poszczególnych członków i opanować je od wewnątrz (ostatnie uchwały Komiternu) tak międzynarodówka rzymska działa z przeciwnej strony. „Pro Christo" z lutego, inspirowany zapewne przez władze kościelne, pisze: „Faktem jest, że Akcja Katolicka, jako taka, nie może zajmować się polityką w znaczeniu ścisłem, więc nie może być przekształcona na stronnictwo polityczne", gdyż według oświadczenia Piusa XI „Akcja Katolicka nie może być nigdy zmieszana z organizacjami, które mają cele czysto polityczne".

A więc Akcja Katolicka to organizacja roszcząca sobie pretensje do nadrzędności nad partjami politycznemi — to „udział świeckich w apostolstwie hierarchicznem Kościoła" (Pius XI), czyli, inaczej mówiąc, budowanie państwa kościelnego w państwie polskiem rękami świeckich obywateli Polski.

Gdyby przynajmniej papież przeniósł swoją siedzibę do Warszawy mielibyśmy chociaż taką materjalną korzyść, że pielgrzymi popieraliby nasz bilans handlowy. Nie byłoby to i dla kleru bez pożytku, bo miałby większy i skuteczniejszy zasięg w rusyfikowaniu naszych Kresów Wschodnich przez akcję Pro Russia.

Ten ponadpartyjny charakter Akcji Katolickiej dobitnie podkreślił Pius XI mówiąc wyraźnie: „Akcja Katolicka pozostaje ponad partjami politycznemi, będzie działała dla wspólnego dobra... (czyjego— kleru czy państwa?) przez staranne chrześcjańskie (a więc nie katolickie tylko!) kształcenie sumień co da krajowi szeregi wzorowych obywateli".

O słowach tych zapewne zapomnieli gorliwcy z Bydgoszczy i Niepokalanowa i chcieli oddać Kościołowi niedźwiedzią przysługę, usiłując zamienić Katolickie Stowarzyszenia Mężów (stada potulnych owieczek) na politycznych, partyjnych wygów. Istotnie niebezpieczna zamiana...

(c. d. n.)

Kolumna dyskusyjna

TADEUSZ NOWACKI (KRAKÓW)

Legenda polemiki

Zanim przejdę do spraw bardziej zasadniczych w kontrowersji między moim artykułem i poglądami wyrażonemi przez M. Jakubowskiego w artykule p. t. „W sprawie t. zw. Sztuki Społecznej" (Przemiany 1935, nr. 13), pragnę scharakteryzować zarzuty, skierowane przez Jakubowskiego pod moim adresem.

Najbardziej charakterystyczne są zarzuty ad hominem, Należy tu sugerowanie Czytelnikom mej niewnikliwości, niedoświadczenia, braku „znajomości procesów twórczych" oraz „szerokiej skali przeżyć i doznań artystycznych". Imputuje mi Jakubowski niekompetencję, laicyzm i ignorancję, a łaskawie przyznaje tylko, że miałem dobre zamiary. Zarzutów tych odpierać nie będę, dziwi mnie tylko tupet, z jakim wygłasza się tyle ujemnych sądów o autorze skromnego artykułu.

Bardzo interesujące jest zdanie: „Sprowadza się wtedy wartość podjętej krytyki do feljetonu krytycznego o apodyktycznem nastawieniu w sensie „sądzę...", „musi być..." lub impresjonistycznego mydlenia, że „jakkolwiek nie znam się na tem, ale myślę, że..." i w ten sposób, mniemam jak poprzednio, aż do znudzenia".

Gdzież apodyktyczność w takiem zaznaczeniu, że wyrażane poglądy są prywatną zdobyczą?! Mam prawo sądzić, że ten sposób wyrażania jest ostrożnym i najmniej chyba może mieć wspólnego z apodyktyzmem. Najpikantniejszym jednak tutaj jest fakt, że wyrazów „sądzę" i „mniemam" ani razu w swym artykule nie użyłem, nie użyłem również wyrażenia: „jakkolwiek nie znam się na tem, ale myślę, że...", chociaż wszystko to, wzięte w cudzysłowy sugeruje, że są to dosłownie cytaty z „Refleksyj o sztuce społecznej". Albo tedy Jakubowski sądził, że nikt „Refleksyj" nie czytał, albo też on sam ich nie czytał.

Do błędów zaliczam również stwierdzenie, że „osobowość jest wynikiem takich a takich (?) konfiguracyj i prądów społecznych". Zdanie to dobre byłoby za czasów Locke'a („dusza niezapisaną tablicą". Dzisiejsza humanistyka stwierdza jednomyślnie, że na osobowość składają się obok wpływów otaczającego świata również założenia dziedziczne, jakie jednostka, rodząc się na świat ze sobą przynosi.

Z całego artykułu Jakubowskiego obok nieprzetrawionych myśli Matuszewskiego wyziera błądzenie Autora pośród różnych systemów. Jeśli uważnie przeczyta swój artykuł, dostrzeże tam cały szereg sprzeczności i sądów ze sobą nieuzgodnionych. Kontrowersje ze mną polegają w znakomitej większości na podkładaniu innych pojęć pod użyte terminy. Ja definjuję sztukę społeczną jako pewien rodzaj sztuki, mój antagonista twierdzi, że każda sztuka jest społeczną, ponieważ twórcy żyją tylko w społeczeństwie, a co za tem idzie podlegają jego wpływom. Dzieło, mające za temat morze, góry czy las jest zjawiskiem społecznem, ale nie należy jeszcze do sztuki społecznej, gdyż niema w nim refleksu społecznego. W ten sposób spiera się ze mną Jakubowski o rzeczy, o których ja nie mówiłem.

Podszedłem do pewnego specyficznego rodzaju sztuki, obracającej się tematycznie około życia społecznego i starałem się sprecyzować, jakim on być powinien, aby owocnie spełnić swoją rolę. Rozstrzelonym drukiem odznaczona kwintesencja „Refleksyj" precyzuje właśnie postawę, jaka winna cechować sztukę społeczną. Dotyczy ona wszelkich dziedzin sztuki, jak również rozważanie poprzedzające i następne. Złudzenie, że „Refleksje" traktują wyłącznie literaturę, powstało wskutek początku i zakończenia, omawiającego dział poezji, zwany „poezją proletarjacką".

Czy miałem prawo omawiać „sztukę społeczną" jako odrębny dział sztuki, abstrahując od reszty? Jedna sztuka i „jedna literatura" jest tak samo jedna, jak i jedna rzeczywistość. Jeśli jednak nie chcemy traktować rzeczywistości, jako nieforemnej bryły, splątanej niedającemi się zrozumieć zależnościami, musimy ją zrealizować, rozkładać na elementy, wyodrębniać pewne symptomatyczne procesy czy fakty. Jest to

podstawowa faza poznania naukowego i stąd płynie moje prawo do wyodrębnienia sztuki społecznej.

Czy miałem prawo podchodzić do zjawisk sztuki ze stanowiska socjologicznego? Przypuszczam, że tak. Nie wartościowałem nawet tej sztuki, która dla życia społecznego jest obojętna, na nikogo nie wpływa i nic nie zmienia. Ten rodzaj sztuki jest dla mnie obojętny mimo wszelkiego podziwu dla artyzmu. Wolno mi ujmować ze stanowiska socjologa sztukę i rozważać jej wartości i oddziaływania społeczne, jak wolno p. Jakubowskiemu podchodzić do zagadnienia od strony spraw samej sztuki.

Jeszcze jedną szkodliwą sugestię nasuwa artykuł w sprawie t. zw. „sztuki społecznej". Pozwala on myśleć, że wpływy środowiska starczą, aby w zetknięciu z „talentem" jednostki dać dzieło o dużej wartości. Stanowisko to zapoznaje zupełnie żmudną i trudną pracę „wmyślania się w rzeczywistość". Jest to stanowisko automatyzmu twórczego, podczas, gdy im większa aktywność w myśleniu artysty o rzeczywistości, tem głębsze przemyślenie zamknie on w swoich dziełach.

Dzieła ściśle i doskonale ujmujące istotę jakiegoś zagadnienia są zawsze owocem głębokich rozważań.

Nie mogę powiedzieć, aby p. Jakubowski polemizował ze mną; polemizuje sam ze sobą, ze swojemi nieustalonemi poglądami i fałszywą interpretacją „Refleksyj". Jest w jego artykule atak na mnie (argumenty ad hominem), niema ataku na moje poglądy.

Jedno jest w tem pocieszające: to fakt, że zagadnienenie wzbudziło dyskusję.

MŁODZI IDĄ...

DR. EUGENJUSZ GEBLEWICZ—PARYŻ

Organizacje polityczne

francuskiej młodzieży akademickiej

Sprawa prądów ideowych wśród młodzieży francuskiej budzi obecnie, w związku z niedawno minionemi wypadkami we Francji, żywe zainteresowanie. Muszę jednak zaznaczyć, że ograniczając swój artykuł jedynie do organizacyj młodzieży akademickiej, idę śladem pojęć i podziałów, przyjętych w środowisku polskiem.

Wśród organizacyj, które odpowiadają naszym organizacjom ideowo - politycznym niema we Francji kierunków, któreby były dziełem specyficznem młodego pokolenia. Organizacje młodzieży francuskiej są w daleko większym stopniu niż u nas związane ideowo i organizacyjnie z odpowiedniemi organizacjami starszego społeczeństwa. Francja nie zna stowarzyszeń typowo akademickich jakie istnieją w Niemczech i u nas pod postacią np. korporacyj.

Inne organizacje akademickie np. koła naukowe, które noszą we Francji nazwę groupes d'études akademickie stowarzyszenia sportowe lub powstałe w bieżącym roku akademickim stowarzyszenie samopomocowe studentów Uniwersytetu Paryskiego w ideowem życiu akademickiem nie odgrywają większej roli. Są to organizacje, które działalność swą ograniczają jedynie do zakreślonych sobie celów i nie są nigdy terenem rozgrywek i walk o władzę w organizacjach o obliczu mniej lub więcej politycznem. Jeżeli słyszy się o sporach tego rodzaju, to raczej w organizacjach studentów obcokrajowych np. stowarzyszenia studentów polskich lub jugosłowiańskich.

Jedynym terenem rozgrywek politycznych na terenie ściśle akademickim są, obok manifestacyj z okazji wydarzeń aktualnych na wydziałach (np. sprawa prof. Jéze), wybory do wydziałowych rad dyscyplinarnych. Są to instytucje, które decydują wspólnie z przedstawicielami profesorów w wypadkach wykroczeń dyscyplinarnych studentów. Do niedawna czynne i bierne prawo wyborcze przysługiwało wszystkim studentom danego wydziału. W roku akademickim 1933/34 odbyły się po raz pierwszy wybory do rad dyscyplinarnych z prawem wyboru przysługującem jedynie studentom - obywatelom francuskim. Ministerstwo Oświaty odebrało wskutek interwencji organizacyj prawicowych prawo wyborcze studentom cudzoziemcom. Organizacje lewicowe domagały się w owym czasie całkowitego zniesienia wyborów do rad dyscyplinarnych, które ich zdaniem nie stanowiły wielkiego przywileju dla młodzieży akademickiej, dawały jedynie elementom prawicowym możność wykazania swej rzekomej przewagi na terenie akademickim, a to dla tego, że członkowie i sympatycy organizacyj lewicowych zajęci pracą zarobkową nie mogli brać udziału w przygotowaniach przedwyborczych i głosowaniu. W tych wyborach prawica ma, jak sama to zaznacza, dzięki odsunięciu od prawa głosu cudzoziemców, prawie zawsze większość. Nie należy jednak przypuszczać, że faktycznie jej wpływy są najsilniejsze. Jak prawie na całym świecie organizacje prawicowe są bardziej krzykliwe, lepiej zorganizowane i... lepiej uzbrojone.

Nasz przegląd organizacyj zacząć wypadnie od najbardziej dziś sławnej z powodu niedawnego rozwiązania „Action Française". Jest to organizacja, która istnieje już od dwudziestu kilku lat i broni zasad monarchicznych, ustroju hierarchicznego i korporacyjnego. Czytając pisma, ulotki i przysłuchując się przemówieniom przedstawicieli tego kierunku trudno wyrobić sobie jasny sąd o dążeniach politycznych „Action Française". „Wy studenci — mówił np. jeden z jej szefów — jesteście kwiatem inteligencji i wiecie dobrze, że rozum wskazuje jako jedyny ustrój polityczny dla Francji ustrój monarchiczny".

Często też można słyszeć na zebraniach „Action Française" bardzo ostre i wyrażone w dosadnych słowach krytyki pod adresem ustroju republikańskiego, co wywołuje wyraźne objawy zadowolenia wśród zebranych na sali studentów i uczniów liceów. I to jest charakterystyczne: wśród uczestników zebrań

„Action Française" i jej członków widzi się przeważnie ludzi bardzo młodych, a wśród jej przywódców ludzi starszych, a nawet bardzo starych: emerytowanych generałów i admirałów. Przeciwnicy twierdzą, że niema między członkami „Action Française", ludzi doj załych i na jej powstanie składa się tradycjonalizm starych i snobizm niedojrzałych młodzieniaszków. W istocie jako siła polityczna nie przedstawia ta organizacja większego rnaczenia. Wodzi tylko pierwsze skrzypce w przeróżnych kawałkach w Quartier Latin, w czem odznacza się nieraz dużą pomysłowością. Ostatnio np. po rozwiązaniu stowarzyszeń „Action Francaise" członkowie jej, którym nie wolno nosić odznaki w postaci lilji burbońskiej, umieszczają w klapie surduta monetę 50-centymową — dix sous (dziesięć su) — ponieważ są rozwiązani — dissous — co fonetycznie na jedno wychodzi.

Drugą ważną organizacją na terenie akademickim są „Jeunesses Patriotes" bardziej liczni od „Action Française", zwolennicy dyktatury nacjonalistycznej i przeciwnicy parlamentaryzmu; nie są jednak monarchistami. Przewodzi im deputowany Paryża P. Taittinger. Członkowie organizacji są podzieleni na sekcje i zmilitaryzowani. Rekrutują się przeważnie z pośród synów bogatych rodziców. Widać ich często z odznakami w klapie marynarki w postaci hełmu galijskiego i miecza, biorących czynny udział w manifestacjach nacjonalistycznych Quartier Latin.

Wśród innych organizacyj prawicowych wspomnieć należy o Fils des Croix de Feu. Są to synowie dawnych kombatantów, którzy grupują się w stowarzyszeniu Croix de Feu, prowadzonem przez pułkownika na emeryturze de la Rocque, którego brat jest podobno w sztabie pretendenta do tronu francuskiego Duc de Guise.

Młodzieńcy ci są podobnie jak ich ojcowie militarystami, antykolektywistami, zwolennikami ustroju korporacyjnego i admiratorami Mussoliniego.

Z prawicowych organizacyj wymienić jeszcze wypadnie „Solidarité Française", subwencjonowaną, jak twierdzą złośliwi przez zamaskowanych Włochów i „Francistes", których wodzem jest Gustave Clervé, dawny socjalista, a obecnie narodowy socjalista francuski, naśladujący świadomie czy nieświadomie Hitlera. Obie te organizacje tem się odznaczają zewnętrznie, że noszą mundury na wszelkich patrjotycznych wystąpieniach i poza tem posiadają dość mętną ideologię, która jest mieszaniną faszyzmu, nacjonalizmu i radykalizmu społecznego w małych dozach. Mimo pozorów większych wpływów nie posiadają, zwłaszcza w społeczeństwie francuskiem, któremu nie imponują naogół maskarady mundurowe i przemarsze wojskowe.

Ugrupowania centrowe i lewicowe noszą inny charakter. Były to do niedawna stowarzyszenia raczej dyskusyjne, które nie występowały nazewnątrz. Dopiero po głośnych zajściach 6 lutego 1934 r. i w obozie lewicy zaczęto tworzyć i ćwiczyć milicje.

Z ugrupowań centrowych wspomnieć można np. o akademickiem stowarzyszeniu Alliance Démocratique, które jest odpowiednikiem analogicznej grupy w starszem społeczeństwie.

Idąc dalej na lewo spotykamy Ligue d'Action Universitaire Republicaine et Socialiste, w skróceniu LAURS, która grupuje studentów o kierunku odpowiadającym Lidze Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Jest to stowarzyszenie antyfaszystowskie republikańskie i pacyfistyczne, składa się z radykałów (radicaux-socialistes) i neosocjalistów.

Istnieje grupa, która nosi nazwę Etudiants socialistes, która pracuje w ramach partji socjalistycznej starszego społeczeństwa i posiada miesięcznik p. t. Etudiant socialiste.

Odłam komunistyczny i skrajnej lewicy reprezentuje Union Féderale des Etudiants stowarzyszenie bardzo żywotne i cieszące się dość dużemi wpływami.

Jeżeli chodzi o inne organizacje, których charakter polityczny jest mniej wyraźny, wspomnieć wypadnie o t. zw. Equipes sociales. Jest to ugrupowanie katolickie, które pracuje na terenach pozaakademickich przy dużym jednak współudziale studentów. Szerzy ono hasła przebudowy społecznej w duchu katolickim, odznacza się przytem znacznym radykalizmem społecznym.

Pisząc o organizacjach katolickich niepodobna nie wspomnieć, że zwłaszcza wśród młodzieży, noszą one często charakter radykalny w sprawach społecznych. Można słyszeć księży, wygłaszających przemówienia przeciw antysemityzmowi i można widzieć organizacje katolickie, łączące się z frontem ludowym, w skład którego wchodzą socjaliści i komuniści. Ten wypadek zaszedł podczas wyborów w Quartier St. Victor w Paryżu, gdzie katolicy, grupujący się w stowarzyszeniu „La Jeune République" popierali na zebraniach przedwyborczych i głosowali na kandydata frontu ludowego.

Po tym krótkim przeglądzie organizacyj akademickich nasuwa się kilka uwag natury ogólnej. Uzależnienie a raczej ścisła łączność organizacyj akademickich z organizacjami starszego społeczeństwa nie wynika z braku oryginalności młodzieży francuskiej. Jest ona raczej wynikiem struktury życia charakteru francuskiego. Francuz jest indywidualistą i lubi niezależność, to też stara się jaknajprędzej zdobyć stanowisko, któreby mu ją zabezpieczało pod względem materjalnym. Nie należy tego źle rozumieć, jak to się często zdarza. Chodzi o to, żeby mieć czas i środki do zajmowania się swem własnem wykształceniem (culture d'esprit) i na swój sposób, niezależnie od wszelkich programów szkolnych i egzaminów. To też studja uniwersyteckie trwają we Francji naogół krótko i większy jest procent kończących niż u nas. Nie spotyka się studentów, którzy, zaniedbując często studja i egzaminy, z zapałem poświęcają się pracy w stowarzyszeniach akademickich przez długie lata. Typ przynajmniej doniedawna nierzadki u nas.

W czasie studjów akademickich i w wyższych klasach liceów młodzież francuska zapoznaje się z różnymi kierunkami politycznymi. Na zebraniach, organizowanych przez studentów, i dla studentów przemawiają najczęściej przywódcy partyj politycznych starszego społeczeństwa i ich właśnie uważa młodzież za swoich przywódców. Jeżeli zapytać się studenta socjalisty, kto

jest jego przywódcą odpowie, że Blum, zwolennik „Action Française" wymieni Maurras'a i Daudet'a i t. p.

Rzecz oczywista, że ci przywódcy niezawsze będą im przewodzili duchowo.

Często student po zdobyciu stanowiska, gdy ma więcej czasu na przemyślenie kierunków z którymi się zapoznał, zmienia poglądy.

We Francji ludzie wchodzą w życie stosunkowo młodo i dojrzałość umysłowa często dopiero po ukończeniu studjów każe im opuścić skrajne organizacje nacjonalistyczne, które żadnego programu realnego nie reprezentują. Tem między innemi tłomaczy się zjawisko, że „Action Française" przez długie lata swego istnienia nie zdołała właściwie rozszerzyć swych wpływów poza teren akademicki.

ADAM SZCZĘSNY

Starsze harcerstwo przechodzi do ofensywy

W chwili obecnej mówi się i pisze o harcerstwie bardzo dużo. Stanowczo jednak zamało uwagi zwraca się na starsze harcerstwo, obejmujące młodzież ponad 18 lat i będące racjonalnem przedłużeniem drużyn harcerskich młodzieży. O ile bowiem młodsze harcerstwo przygotowuje człowieka do późniejszego, samodzielnego życia, wyrabiając w nim przez specjalny system wychowawczy niezmiernie ważne cechy „przydatności społecznej", o tyle starsze harcerstwo, obok dalszego pogłębiania i uzupełniania wychowania, stawia przed człowiekiem zupełnie już konkretne problemy do rozwiązania i zupełnie konkretne prace do wykonania. I dlatego starsze harcerstwo, jako ta zupełnie już dojrzała część Związku Harcerstwa Polskiego, jest przeznaczone do wejścia silną, zwartą grupą do społeczeństwa polskiego i przemiany na lepsze obecnego stanu rzeczy.

Kładąc w stosunku do swych członków ogromny nacisk na uczciwe i sumienne traktowanie swego zawodu, z drugiej zaś strony rozwijając głębokie poczucie odpowiedzialności za to, co się dokoła nich w życiu społecznem dzieje, starsze harcerstwo wychowuje typ człowieka czynnego w jaknajlepszem tego słowa znaczeniu.

Trudno mi tutaj obszernie rozwodzić się nad metodami, jakie stosuje starsze harcerstwo w swej pracy, pragnę jedynie podkreślić nacisk położony na wyzyskanie walorów zespołowości i więzów braterskich, łączących poszczególne jednostki.

Starsze harcerstwo w obecnej fazie rozwoju staje się ruchem społecznym i jako taki obejmować musi wszelkie odłamy społeczeństwa. I tutaj uderzyć nas musi łatwość powszechnego zastosowania metod pracy starszego harcerstwa. Z jednej bowiem strony grupuje ono w swych szeregach t. zw. inteligencję, tworzącą odpowiednio do swych zawodów lub zamiłowań jednostki organizacyjne, t. zw. „kręgi", jak n. p. kręgi nauczycieli, urzędników, inżynierów, akademików, artystów, wojskowych, żeglarzy, szybowników i t. p. Z drugiej zaś wspaniale rozwija się st. harcerstwo wśród robotników, gdzie opiera się prawie wyłącznie na wspólnocie zawodów, tworzy coraz gęstszą sieć kręgów metalowców, drukarzy, kolejarzy i t. p., których wspólny warsztat pracy łączy i zespala.

Doniosłą rolę odgrywa tutaj harcerskie pośrednictwo pracy oraz obozy pracy istniejące od kilku lat dla starszych harcerzy bezrobotnych Obecnie również opracowywana jest kwestja popularyzacji spółdzielczości i stworzenia sieci spółdzielni prowadzonych przez starsze harcerstwo. Zaczątek tej akcji poczyniono już w kilkunastu środowiskach (Łowicz, Łódź, Lwów, Warszawa i t. p.).

Mniej stosunkowo rozwija się starsze harcerstwo na terenie wsi. gdzie brak mu było przez długi czas podbudowy w formie drużyn młodzieży. Obecnie jednak i tam powstają pierwsze kręgi, stawiające sobie za cel oświatę ludową i przysposobienie rolnicze.

Z. H. P. liczy w chwili obecnej 200,000 członków w tem blisko 20 tys. starszych harcerzy i harcerek. Jeśli uświadomimy sobie, że w odróżnieniu od innych organizacyj starsze harcerstwo jest reprezentowane dosłownie wszędzie, że obejmuje ludzi dojrzałych, z których wielu już zajmuje odpowiedzialne a nawet kierownicze stanowiska w społeczeństwie, że ludzie ci dają w pracy walory tak dziś rzadkie jak energja, karność, inicjatywa i sumienność, to zgodzić się musimy, że starsze harcerstwo jako ruch odegra może już niezadługo swą doniosłą rolę w przemianach życia społecznego Polski.

Od Administracji

CELEM UNIKNIĘCIA POMYŁEK W WYSYŁCE „PRZEMIAN" PROSIMY PRENUMERATORÓW O DOKŁADNE I WYRAŹNE PODAWANIE ADRESÓW.

J. Z. — POZNAŃ

Związek Zrzeszeń Młodych Prawników

Nie można powiedzieć, że w kształtowaniu polskiego życia społecznego i państwowego decydująca rola przypada prawnikom jako takim. — Z natury swego zawodu właśnie prawnik powinien być predestynowany do organizowania życia społecznego w różnorodnych jego dziedzinach i na rozmaitych odcinkach według pewnych idei przewodnich. Konieczność i ambicja państwa unormowania coraz to nowych dziedzin życia społecznego przez wydanie i wprowadzenie w życie przepisów prawnych nie wpływa — jakby zdawać się mogło — na zwiększenie się „ciężaru gatunkowego" prawników w społeczeństwie. — Przeciwnie — mnogość norm prawnych i ich zmienność, wywołane szybkim nurtem współczesnego życia, zdaje się deprecjonować prawo samo, a wślad za tem rolę prawników. Zmiana przepisów prawnych wydaje się tak łatwa, a do stosowania norm prawnych wykształcenie prawnicze uważa się za zbędne. — Wyrazem tego panującego przekonania o pewnego rodzaju zbędności i bezwartościowości wykształcenia prawniczego jest administracja państwowa, gdzie znaczna część funkcyj o charakterze prawniczym sprawowana jest jeszcze dziś — w okresie nadmiernej podaży młodzieży prawniczej — przez ludzi bez studjów prawnych, kiedy równocześnie młodzi prawnicy pełnią często czynności takiego rodzaju, że studja prawnicze rzeczywiście przedstawiają się jako niepotrzebna strata czasu, a nagromadzona wiedza, jako zbędny balast. — Zwiększenie terenu swobodnego uznania władzy administracyjnej, postępujące w miarę rozrostu funkcyj państwa, zamiast stać się atutem konieczności realizowania zastrzeżonego swobodnego uznania wyłącznie przez urzędników z wykształceniem prawniczem — zdaje się być argumentem przeciwko niezbędności prawników we władzach administracyjnych. — Również w przedsiębiorstwach prywatnych potrzeba i celowość zatrudniania pracowników z wykształceniem prawniczem wobec wielkiej ilości zwykle skomplikowanych przepisów prawnych z trudnością znajduje zrozumienie. — Warto wreszczie wspomnieć o stałem i konsekwentnem, faktycznem i prawnem zwężaniu dziedzin działalności adwokatury, której przedstawiciele traktowani są nie jako czuwający nad należytem stosowaniem norm prawnych i współdziałający w ten sposób z organami władzy państwowej w realizowaniu prawa — lecz jako czynnik przeszkadzający organom władzy w spełnianiu ich władczych funkcyj.

Nie jest mojem zadaniem wykazywać, w jakiej mierze do upadku wyżej naszkicowanego przyczynili się sami prawnicy i jakie konkretne przyczyny odegrały w tem rolę — dość, że należy przyjąć za fakt niewątpliwy, iż kredyt, który daje wykształcenie prawnicze młodemu człowiekowi, nie wytrzymuje porównania np. z awansem, z jakim wstępuje w życie państwowe czy społeczne wojskowy czy były wojskowy.—

Powyższe uwagi mogą posłużyć za tło, na którem wyraźniej uwydatni się celowość organizacji, mającej stać się w niedalekiej przyszłości reprezentacją ogółu polskich młodych prawników. Mam na myśli Związek Zrzeszeń Młodych Prawników Rzeczypospolitej Polskiej, który — mam nadzieję — odegra niepoślednią rolę w wywalczeniu prawnikowi i prawu w Polsce należnego miejsca.

Zalążkiem obecnego silnego Związku Z. M. P. był Związek Zrzeszeń Aplikantów Zawodów Prawn. R. P., powołany do życia w r. 1923 przez sześć zrzeszeń aplikantów sądowych i adwokackich. — Zrzeszenia aplikantów działały na obszarze poszczególnych Sądów Apelacyjnych, grupując początkowo w jednem zrzeszeniu aplikantów sądowych i adwokackich.— Z czasem zrzeszenia te objęły organizacyjnie asesorów i aplikantów sądowych, aplikantów Prokuratorji Generalnej oraz asesorów i aplikantów notarjalnych. — Wskutek stopniowego wchłaniania do swych szeregów prawników z coraz to innych grup zawodowych — poczęły tworzyć się poszczególne zrzeszenia asesorów i aplikantów sądowych, aplikantów adwokackich, asesorów i aplikantów notarjalnych, obejmujące swą działalnością teren jednego Sądu Apelacyjnego. Wszystkie zrzeszenia połączył organizacyjnie Związek Zrzeszeń z Radą Naczelną na czele.

Działalność Związku Zrzeszeń polega na koordynacji prac poszczególnych Zrzeszeń i utrzymywaniu stałego kontaktu między niemi, reprezentowaniu zrzeszonych prawników wobec władz i organizacyj społecznych, pogłębianiu zainteresowań naukowych wśród młodych prawników i uspołecznieniu ich wreszcie w pracy samopomocowej. Co roku odbywają się zjazdy delegatów poszczególnych Zrzeszeń kolejno w miastach, stanowiących siedzibę Sądów Apelacyjnych, na których przedstawiciele poszczególnych Zrzeszeń dają wyraz postulatom reprezentowanych przez siebie zrzeszonych prawników, głównie w dziedzinie warunków pracy zawodowej, przygotowania do zawodu, stosunku organizacyj prawniczych i ich członków do innych grup społecznych oraz stanowiska i zadań prawników w społeczeństwie. — W ostatnim czasie Związek Zrzeszeń rozwija żywą działalność w kierunku nawiązania stosunków z pokrewnemi organizacjami zagranicznemi. Związek wydaje własny organ prasowy p. n. „Współczesna myśl prawnicza". —

W grudniu 1935 r. nadzwyczajny zjazd delegatów dokonał decydującej zmiany statutu Związku Zrzeszeń. — Najwidoczniej zmiana ta wyraża się w zmianie nazwy organizacji, która obecnie brzmi: „Związek Zrzeszeń Młodych Prawników Rzeczypospolitej Polskiej". Zmiana nazwy jest wyrazem zasadniczej zmiany treści postanowienia statutu, traktującego o przynależności do Związku Zrzeszeń. — Według obecnego brzmienia statutu w skład Związku mogą wchodzić nietylko Zrzeszenia, grupujące asesorów i aplikantów sądowych, aplikantów adwokackich, asesorów i aplikantów notarjalnych — lecz także z terenu każdego Województwa Zrzeszenie, grupujące młodych prawników, zatrudnionych w administracji państwowej, samorządzie terytorjalnym i gospodarczym, w instytucjach i zakładach gospodarczych, finansowych i przemysłowych. — Nowość zatem polega na znacznem rozszerzeniu zasięgu organizacji. — Związek Zrzeszeń, obejmujący dotychczas wyłącznie prawników, związanych mniej lub więcej bezpośrednio z sądem, otrzymał ramy i możliwość objęcia ogółu młodych prawników polskich z wszystkich dziedzin zawodowej pracy. — Kryterjum przynależności do Związku Zrzeszeń zmieniło się o tyle, że punkt ciężkości nie leży już w zawodzie, w jakim pracują członkowie Zrzeszeń, lecz raczej we wspólnem wszystkim wykszałceniu prawniczem.

Próba organizacyjnego zjednoczenia wszystkich młodych prawników niewątpliwie jest wzorowana na strukturze Związku Niemieckich Prawników (Bund National Socialistischer Deutscher Juristen). który gromadzi sędziów i prokuratorów, adwokatów, urzędników administracyjnych, młodych prawników (aplikantów) notarjuszów, profesorów prawa na uniwersytetach, prawników gospodarczych i sekretarzy sądowych (Rechtspfleger).

Obecni kierownicy Związku Zrzeszeń Młodych Prawników nie tają że Związek Zrzeszeń ma być komórką, z której wyłoni się jeden wielki Związek Prawników Rzeczypospolitej Polskiej.

Trudno dziś przesądzić, czy próba złączenia wszystkich organizacyj młodych prawników w Polsce nadbudową, jaką jest Związek Zrzeszeń, da dodatnie wyniki. — Projekt takiej rozbudowy spotkał się z silną opozycją wielu delegatów Zrzeszeń na grudniowym zjeździe i przeszedł tylko nieznaczną większością głosów. — Opozycjoniści podkreślali przy zwalczaniu projektu przedewszystkiem brak stycznych punktów między prawnikami sądowymi, a prawnikami administracyjnymi czy gospodarczymi. — Niewątpliwie łączność między poszczególnemi grupami prawników jest w Polsce znacznie luźniejsza niż np. w Niemczech, gdzie jeszcze po wyjściu z uniwersytetu przygotowanie do różnych zawodów prawniczych jest jednakowe (trzyletnia aplikacja dla kandydatów do sądu, do adwokatury i do administracji państwowej). — Nie można jednak nie uznać wielkiego wysiłku twórców koncepcji i słuszności hasła w imię którego zjednoczenie organizacyjne następuje: połączyć wszystkich prawników jedną naczelną reprezentacją dla walki o należne miejsce i poszanowanie dla prawa i prawników w interesie społecznym. — Realizacja tego hasła — jak zwykle — zależy od realizatorów.

Okruchy miesiąca

Maleńka salka „Café Clubu" jest codzień wypełniona do ostatniego miejsca. Pp. Karpiński i Minkiewicz dwa razy dziennie rozdają warszawianom porcje humoru. Szopka sama jest miejscami świetna, miejscami przechodzi bez wrażenia. Dużo tematów jest niewykorzystanych. W czem jednak leży tajemnica, że w naszych, jak się zwykło mówić, ciężkich czasach publiczność od paru tygodni bez szemrania płaci drogie bilety? W humorze. W wygnanym przez kołtunerję i hipohondryków humorze. Jesteśmy głodni humoru. Zapłacimy zań każdą cenę.

— — — — — — — — —

Jest w Warszawie taki budynek, w którym z każdego miejsca źle słychać i źle widać. Dziwnym trafem umieszczono tam operę. Dyrekcja tej instytucji unika przerostów kompetencyjnych. Ogranicza się tylko do sprzedania biletu. Co się dalej z widzem stanie, to już jego prywatna sprawa. — Pewnego razu na galerji 3 piętra zasiadł pracujący inteligent — kandydat na melomana. Siedział przy przejściu. Przed rozpoczęciem przedstawienia przed nosem widza — posiadacza niekartkowego biletu stanęło kilkanaście osób. Nie pomogły apelacje do służby, która przecież po coś jest. Nie pomógł i pan posterunkowy defilujący po korytarzu.— Odsunąwszy parę osób sam stanął przed oczami interpelanta; zdenerwował się jedynie, gdy i jemu zaczęto przeszkadzać. Pan kontroler też nie pomógł, a pan komisarz policji rzeczowo zapytał: gdzie pan siedzi? „Na 3-cim piętrze. Dobrze, dobrze ja tam pójdę" — Zdenerwowany widz przed trzecim aktem — po rozmowie z grupą służby od której się dowiedział, że tak zawsze było, a „Pani Dyrektorowa" nigdy po galerjach nie chodzi — oświadczył głośno: „Każdego, kto mi stanie przed nosem za szyję wyprowadzę, a pan niech uprzedzi o tem policjanta". Poskutkowało odrazu;— Tak się u nas wychowuje publiczność.

— — — — — — — — —

Główna Księgarnia Wojskowa była świadkiem rzadko spotykanych scen, które się przed paroma dniami rozgrywały w jej wnętrzu. Ogłoszono wyprzedaż likwidacyjną przyczem ceny książek zaczynały się od 5 gr. Publiczność zalegała tłumnie księgarnię, grzebała na półkach, wyciągała upatrzone egzemplarze. Byli i uczniowie i profesorowie uniwersytetu, urzędnicy pocztowi i oficerowie — wszyscy.

Amatorzy książek są jeszcze w Polsce, ale nie zawsze mogą książkę kupić. Wielu z klijentów Głównej Księgarni Wojskowej oglądało dotychczas jej książki tylko z tamtej strony szyby.

— — — — — — — — —

W pierwszych dniach marca w lokalu Z. P. M. D. prof. Kazimierz Zakrzewski, senjor tej organizacji, wygłosił ciekawy odczyt o Sowietach. Referent zobrazował ewolucję sowieckiego systemu państwowego i interesująco zestawił współczesny ustrój sowiecki z faszyzmem i hitleryzmem. Zwykle tego rodzaju zebrania kończą się albo czkawką komunistycznego entuzjazmu, albo lękiem przed skutkami roboty Kominternu. Tym razem było inaczej: nikt w dyskusji nie mówił o grozie światowej rewolucji. Stwierdzono tylko grozę imperjalizmu państwowego Z. S. S. R.

I kto wie czy to ujęcie nie jest właściwsze.

— — — — — — — — —

Niemal jednocześnie odbył się ciekawy odczyt organizowany przez Instytut Badań Spraw Narodowościowych o Polakach na Litwie. Na około 300 rozesłanych zaproszeń przybyło 32 osoby. P. T. Zaproszeni wystawili sobie najlepsze świadectwo! A nam wypada powtórzyć niedawno wypowiedziane słowa o uświadomieniu społeczeństwa.

Tak zasłużona placówka, jaką jest Instytut napewno się nie obrazi i nieraz jeszcze zaatakuje społeczeństwo.

Wypadałoby jednak pomóc w tej sprawie. A możeby publiczność zmienić na młodszą? Nie przyszedłby coprawda ten pan, co na każdem zebraniu streszcza encyklopedję Gutenberga, ale skutek zgromadzenia byłby chyba lepszy.

Recenzje

Bronisław Pawłowski — HISTORJA WOJNY POLSKO-AUSTRYJACKIEJ 1809 ROKU. Główna Księgarnia Wojskowa — Warszawa 1935.

Wojna polsko-austryjacka 1809 r. która stanowi ciekawy i chwalebny okres historji naszej wojskowości, opromieniona została piękną legendą.

Niestety legenda — nie odmawiając jej zresztą walorów o znaczeniu wychowawczem i literackiem — najczęściej zaciera prawdę historyczną zdarzeń które opiewa.

Chwytając zewnętrzne efekty, legenda usuwa w cień momenty czasem niesłychanej wagi i godne podziwu tylko dlatego, że nie oddziaływują one dość silnie na wyobraźnię. Aby prawda historyczna mogła dojść do głosu, aby przeszłość ukazała się nam we właściwem świetle muszą powstawać dzieła oparte na licznych, wiernych i krytycznie opracowanych źródłach, odtwarzające epokę i zdarzenia — tak jak to czyni z górą 500 stronicowe dzieło Pawłowskiego.

Nad okresem historji, obejmującym dzieje Księstwa Warszawskiego, ciąży niewątpliwie postać ks. Józefa Poniatowskiego, lecz — jak wskazuje Pawłowski — w sposób odmienny niż głosi legenda, która przedstawia ks. Józefa z szablą w ręku prowadzącego do ataku oddziały oddanego mu wojska. Rzeczywistość ukazuje Poniatowskiego w innej roli — w roli zapobiegliwego administratora i zdolnego organizatora, który w ciężkich gospodarczo warunkach potrafi zorganizować i wyposażyć armję, wprowadzić szereg celowych zmian i reform — w roli wychowawcy, który potrafił tchnąć ducha zwycięstwa w młodą armję, dojrzałego polityka, umiejącego z wielką zręcznością w skomplikowanej i wielotorowej maszynie rządów Ks. Warszawskiego zdobyć odpowiedni autorytet, zaufanie i dużą niezależność od francuskich opiekunów.

W trakcie wydarzeń wojennych daje się poznać Poniatowski, jako zdolny wódz pełen energji i inicjatywy, bo chociaż sama koncepcja wyprawy do Galicji była wysunięta przez gen. Davouta to jednak warunki, okoliczności w jakich Davout możliwość tej wyprawy przewidywał były tak odmienne od późniejszego stanu rzeczy, że opracowanie wyprawy galicyjskiej było oryginalnem dziełem ks. Józefa.

Dysproporcja między siłami polskiemi i austryjackiem była zbyt wielka aby przy wszystkich talentach Poniatowskiego i duchu, jaki ożywiał wojsko polskie im wyłącznie przypisywać odniesione sukcesy. Sukcesy polskie były spowodowane również niedołęstwem i błędami dowództwa austryjackiego, a częściowo i tem, że reformy przeprowadzone przez naczelnego wodza arcyks. Karola były dokonane połowicznie i niezdołały się jeszcze w armji zakorzenić, jako wprowadzone zbyt późno.

Nie od rzeczy będzie jeszcze wspomnieć o nastrojach społeczeństwa w Ks. Warszawskiem — Nie było one w wielu wypadkach ani entuzjastyczne, ani ofiarne, a jeżeli chodzi o poszczególne jednostki to zachodziły wypadki warcholstwa, wywlekanie prywatnych uraz w sprawach publicznych. Zaznaczyło się to w organizowaniu powstania w departamentach. Gorzej, bo zachodziły wypadki daleko idącego oportunizmu, lub poprostu tchórzostwa i służalstwa wobec austryjaków.

Wszechstronne, oparte na wielu niezbadanych przedtem dokumentach, dzieło Pawłowskiego jest wynikiem głębokich mozolnych badań archiwalnych i cennym nabytkiem naukowej literatury historycznej.

W. B.